

»Panie, a cy pon pamięta,
jak pon szeptał nieraz w noc,

— — — — —
jako w nas jest wielga moc,
jako że jest moc zakłeta,
że się kiedyś opamięta...«

Wyspiański »Wesele«.

Dusza Ludu w „Panu Balcerze“



M 8-
d 11 1/2

1149

BOHDAN GÓRSKI.

4-66

2066

DUSZA
LUDU
W
»PANU
BALCERZE«



CAŁKOWITY NAKŁAD PRZEZNACZONY NA KORZYŚĆ TOWARZYSTWA B. WYCHOWAŃCÓW SZKOŁY WOJCIECHA GÓRSKIEGO

884-09

WARSZAWA 1914
Księgarnia St. Sadowskiego

Nr. Inw. ~~2732~~



288741



no kuz. 94

Druk L. Bogusławskiego
Warszawa, Świętokrzyska 11.

D/348/05



I.

PIERWIASTKI OCENY ESTETYCZNEJ.

Za siódmą górą, za dziewiątą rzeką istnieje podobno cudna kraina marzenia. Nie dobiega tam żaden głos ziemi, panuje tak silne napięcie wyobraźni i uczucia, że artysta jednym aktem twórczej woli może powołać do życia dzieło skończone w sobie, zależne tylko od siebie, wolne od jakichkolwiek wpływów postronnych, luźnie jeno związane z przeszłością wewnętrznego kształtowania się twórcy.

Dziedzina impulsywnej żywiołowej twórczości i mechanizm powstawania koncepcji artystycznej przedstawia dla współczesnej wiedzy psychologicznej teren zupełnie jeszcze prawie dziewiczy; linja, wzdłuż której postępuje rozwój teorii estetycznych od kanonów Arystotelesa do nastrojowych wibracji podmiotowego czysto wrażenia Lemaître'a i Anatola France'a, wskazuje tylko na zmienność i względność kryterjum artystycznego, ustanawia bardzo subiektywne uogólnienia dalekie od naukowej pewności. Trudno

Dusza ludu w Panu Balcerze. 1

zatem rozstrzygać o ile wyżej podana teoria odpowiada rzeczywistym faktom pewnych rejonów twórczej psychiki, wolno jednak pod adresem bezwzględneho impresjonizmu, zwolenników absolutnej samodzielności przy powstaniu i rozwoju pomysłów artystycznych, złożyć jedno zastrzeżenie zasadnicze. Oto jakakolwiek byłaby *bezpśrednia* rola wpływów zewnętrznych w pierwszym momencie twórczym, to nieda się żadną miarą zaprzeczyć ich udział *pośredni*, jako treści konkretnej, którą psyche artysty wchłonęła i organicznie włączyła w proces własnego wewnętrznego formowania się i uświadamiania jakości uczuciowych, czy intelektualnych. Istota dzieła sztuki tkwi bezsprzecznie w niepodległym żadnym mniej lub więcej formalnym schematom tonie wewnętrznym, w sposobie indywidualnego ujęcia danej treści i wrażeniu osobistym, jakie ono wywołuje. Rzetelny i szczerzy nastrój odtwórczy, głęboka, rozległa skala zrozumienia i odczucia zależy od intuicji i wrażliwości estetycznej, ale ta ostatnia oprzeć się musi na szerokim uwzględnieniu życia jednostkowego i zbiorowego. Oczywiście takie postawienie kwestji nie zawsze da się stosować w jednakiej rozciągłości. Temat zaczerpnięty wprost z osobistej psychiki twórcy, jego wyłącznie indywidualnych przeżyć, uniesień i tęsknot lirycznych, z natury rzeczy, ogranicza do minimum działanie pierwiastków asymilowanych z zewnątrz, wysuwa na

plan pierwszy nieuchwytną błyskawicę iskry twórczej, bezpośredni krzyk duszy albo nawet żywiołowy nastrój chwili, który drwi w żywe oczy z konsekwencji rozumowych i daremnych na oko wysiłków, pragnących związać *wszystko* w jedną zygzakowatą, ale nieprzerwaną i wyraźną łączność z nurtem przeżyć zbiorowych. A jednak łączność ta mimo pozorów, które świadczą przeciwko, nie jest bynajmniej papierowym dogmatem, ona istnieje i istnieć musi w żywej rzeczywistości, jeno czasem wykryć ją trudno, bo trudno połączyć zmysł krytyka-erudyty z prostą, świeżą, a jednocześnie wytworną i subtelną wrażliwością intuicyjną na zjawiska artyzmu.

Współobecność dwóch pierwiastków i warunków krytyki artystycznej pozostaje w swej sile i wtedy, gdy chodzi o dzieło, którego treść rdzeniową stanowi zupełnie określona idea, podana może nie w formie narzuconej z góry tendencji, lecz żywych wewnątrznie przetrawionych wartości uczuciowych i refleksyjnych. Ulega zmianie tylko stosunek ilościowy, na czoło występuje konieczność syntetycznego ujęcia całości twórczej danej indywidualności artystycznej, bo nowy jej owoc jest tylko jednym ogniwem całego łańcucha rozwoju idei i świadomości przekonań, myśli, uczuć. Do tej ostatniej kategorii należy „Pan Balcer w Brazylii“, poemat stojący pod względem wymagań czysto estetycznych bardzo wysoko i jako wytwór potężnego ognia

i natchnienia poetyckiego wytrzymujący zwycięsko, mimo swoich niezaprzeconych wad wewnętrznych i formalnych, daleko idące porównania. Najwyższą jego wartością jest wcielenie symbolicznej idei ogólnej, *żywy człowiek z krwi i kości*, który otrzymuje głos własny dla uczucia i myśli. W szerokiej perspektywie ujęła tu poetka psychikę zbiorową ludu polskiego, mimo różnorodne trudności kompozycji i charakterystyki, potrafiła zawrzeć istotną, acz pod pewnym kątem widzianą prawdę życiową. „Pan Balcer w Brazylii“ jest syntezą wszystkich zasadniczych pierwiastków twórczości Konopnickiej ¹⁾). Zamiast wezwania i hasła, jednostronnej trochę dydaktyki lub nie ogarniającego całości wybuchu liryzmu, rozwija się bezpośredni obraz życia, słychać wymowę żywej natury ludzkiej, zjawiają się w nowym wcieleniu podstawowe pierwiastki ideowe Konopnickiej, czujnie przez nią strzeżone i kultywowane od chwili pierwszego wystąpienia. Ujęcie rzeczy istotnych człowieka, który występuje w męczeńskiej epopei tułaczy i wyraża jej ideję przewodnią, jest możliwe tylko na tle uważnego spojrzenia wstecz, w niedawną, a czasem niemal, zda się, obcą przeszłość ówczesnego życia społecznego i wyrosłej z tego pnia indywidualności poetyckiej.

¹⁾ Bardzo ładnie i obrazowo wyraził to dr. E. Woroniecki, „Krytyka“, rok 1910.

II.

ZARYS OGÓLNY TWÓRCZOŚCI M. KONOPNICKIEJ.

Zaprawdę, kto historję pół wieku Polski pisać zechce piórem umaczanym w zimnym stołu rozważki i rozsądku, ten napisze rzecz nierozumianą i niezrozumiałą“, pisze w „Rachunkach“ Józef Ignacy Kraszewski. Słowa te zawierają proste, głębokie spostrzeżenie psychologiczne, którego jednak żadną miarą nie można ograniczać do pierwszego 50-ciolecia naszego bytu porozbiorowego. Głośny i ciągle jeszcze mówiony „rozbrat z marzeniem“ jaki nastąpił w zbiorowej duszy polskiej po roku 63, wewnętrznie biorąc, był tylko chwilowy, choć jego akcesorja trwają jeszcze do dnia dzisiejszego ¹⁾). W pierw-

¹⁾ Podobne stanowisko jak wyżej zajmuje przy ocenie tego okresu Antoni Potocki, szkoda tylko, że nie zawsze wyciąga stąd odnośne konsekwencje.

szych latach po powstaniu styczniowym na ziemi polskiej zapanowało milczenie zagastych popiołów, pod świeżym wrażeniem dziejowego kataklizmu straciły blask swój i siłę harde oczy, bezwładnie zwisy niemocne dłonie, zdolne, zda się, jedynie do wygrażania przeszłości i zasypywania wszelkich śladów wielkiej sprawy. Ale już w połowie lat 70-tych dla uważniejszego obserwatora tych czasów jest zupełnie widoczne, że stan martwego bezruchu przechodzi. Rozpoczyna się ogólne pospolite ruszenie w poszukiwaniu nowych fundamentów narodowej przyszłości. Zapewne, że pierwsze pokolenie porozbiorowe, które nie znaczyło krwią swoją śladów własnych, przybrało pozę bezwzględnie zaprzeczną w odniesieniu do walki i marzeń przeszłości, pozytywne hasła trzeźwego rachunku, popularna teoria z bogacenia narodu za pomocą dobrobytu jednostek panowała wszechwładnie. Namiętłe stronnice uniesienie przy ocenie przeszłości, gabinetowy filozoficzny dialektyzm, łudzący pozorami realizm, a raczej rezygnacja polityczna pozostanie nazawsze faktem, ale faktem będzie również, że naród na niedługą tylko chwilę zmartwił w rozpacz. Jeśli nawet nie brać pod uwagę gorączkowego ruchu w kierunku zdobycia jaknajwiększej wolności społecznej i narodowej w Galicji, jeśli pominąć w rachunku cały ów znamienity okres „rezolucyjnej polityki“, demonstracji ulicznych i względnie śmiałych wy-

stąpięń wobec rządu austriackiego w pierwszych latach po powstaniu, jako krótką przemijającą chwilę sztucznej energii, która rychło się wyczerpała by ustąpić miejsca czarno-żółtej trójlojalnej ugodzie, to przecie nie wolno w żadnym wypadku przemilczeć i zbagatelizować tej rzetelnej pracy organicznej, jaka tam się robiła *przeobrażeń klasowych* społeczeństwa jakie nieraz wbrew woli konserwatywnych „ojców ludu“ spełniły się i spełniać musiały. W Warszawie pod względem społecznym było bodaj lepiej; pozytywizm ówczesny dobrze zasłużył się sprawie demokratyzacji i koniecznemu wyrugowaniu różnych przeżytków dotąd wszechwładnych w opinii ogólnej; jak mógł i umiał starał się torować drogę wiedzy i postępowi, wprowadzać nowoczesny duch tam, gdzie pleśniały tamujące oddech tradycje szlacheckich, dawać twardej realny wyraz kwestji społecznej.

Cała nowocześniejsza armja „naprawy Rzeczypospolitej“, wszyscy tak różni od siebie ideowo i intelektualnie Świętochowscy i Szujscy, Szczyński i Wawrzyniaki, Miarki i Wyslouchy i tylu tylu innych świadomie lub bezwiednie, celowo lub mimowolnie przygotowali grunt dla głębokich przeistoczeń ekonomiczno-socjalnych i psychologicznych, nieukończonych jeszcze do chwili obecnej. Zresztą tam, gdzie ekonomiczne i oświatowe zabiegi nie mogły wystarczyć, gdzie słowa Aleksandra Świętochowskiego były zimną abstrak-

cją zrodzoną w ciszy gabinetu, tam dochodziło drżenie podziemnej, tajemnej roboty „kucia zbroi narodowego ducha“¹⁾.

Wśród wrzawy programowych dyskusji, przy głuchym stuku młotów i kielni pracy organicznej, w ciszy prac, których nikt nie widział, których się nawet wypierano głośno i stanowczo, tworzyła się poezja nowego życia. W niedomówionych słowach, w międzywierszowych odstępach wyzierało naprawdę tragiczne oblicze głębokiej goryczy i bólu, całego piekła zawziętości, które wezbrać musiało w piersiach potomków i synów rycerzy, zmuszonych kryć się mrokiem tajemnicy przy zakładaniu szkółek początkowych. I oto w murach kipiącej różnorodnym życiem Warszawy, w zgiełku prywatnych zebrań towarzyskich, wskroś przeciągłe świsty kominów fabrycznych i przytłumione odgłosy żarliwych studenckich dyskusji, rozległ się czysty silny głos kobiecy. Delikatna dłoń ujęła lirę pieśniarską, z nieoczekiwaną, śmiałą mocą zagrała nutą ponurej rzeczywistości, dysonansowych przeciwstawień krasy przyrody i milczenia harmonji niebieskiej, w obliczu tragicznej doli ludu. Obok wytwornego parnasisty, który z otchłannym spokojem głębin spoglądał na świat,

¹⁾ W roku 1875-tym pierwsze kółko tajne na uniwersytecie warszawskim, w zaraniu lat 80-tych organizują się prądy socjalistyczne i wszechpolskie.

zda się zapominając o boju młodości, obok ekspowstańca i społecznika Adama Asnyka, stanęła typowa przedstawicielka czasu swego, a zarazem w istocie swej organizacji psychicznej zdolna dostosować się, do haseł dnia następnego, Marja Konopnicka. Nie ośmielam się wyrokować, jaki sąd porównawczy wyda o jej twórczości krytyka literacka lub specie aeternitatis, ale wiem, że uchwyciła ona tętno swej chwili nieprzelotnie, a głęboko. Artyzm słowa łączy się tu z momentem par excellence społecznym; za wybitną wrażliwość artystyczną i refleksyjną, która staje się nieraz przyczyną aktualnej programowości i spotykanego niekiedy braku ścisłej konsekwencji, płaci lichwą stokrotną wszechstronny istotny talent poetycki, ogromne serdeczną krwią nabrzmiałe umiłowanie ziemi i ludu, bezpośrednie odczucie doli uciśnionych, silna wiara w odrodzenie Polski i ludzkości tylko w ludzie i przez lud. Powyżej ujęte czynniki składają się głównie, choć niewyłącznie na całość odrębnego własnego tonu poetki, łez i bólów ziemi. Po raz pierwszy ton ten własny spotykamy pod nic nie mówiącym tytułem „Obrazków“. Odtwarza w niej Konopnicka, nie licząc się z przepisami ukrywania rzeczywistości pod korcem, z pełnym rozmachem żywego współodczuwania, całą grozę współczesnej prawdy życiowej, tkwiące w niej zadatki blizkiej burzy, spienione fale krzywd i nędzy, które z nieubłaganą konsekwencją zapowiadają mor-

ską nawałnicę. „Obrazki“ te napsuły wiele krwi stróżom porządku, a raczej nieporządku publicznego. Szukano w nich gwałtem rewolucji, choć była tam może tylko trwoga przed sądem przyszłości, wystawiono popularny straszak antyreligijności, przypominano sobie nagle kult artystycznych wymagań, podnosząc, w tym wypadku z pewną słuszością, że „Obrazki“, „Z szopką“, „Przed sądem“ i inne są przesiąknięte sentymentalizmem uczuciowym; przez usta chłopskiego dziecięcia przemawia sama poetka, nie stosując się do poziomu tego, który ma być personifikacją idei. Na pocieszenie jednak fanatycznych miłośników czystej sztuki wtedy, gdy idzie o „wywrotową“ tendencję, można stwierdzić, że ta niezaprzeczone niedoskonałość wykonania artystycznego ustępuje nader szybko przed coraz wszechstronniejszym opanowaniem formy i wyrazu. Obrazek „Wolny najmita“ nie zawiera już ani żdźbła patosu lub przesady, jeży włosy na głowie istotną nieprzeholowaną ani krzty grozą ustroju kapitalistycznego. W „Piosnkach i piosenkach“ drugiej serji te same co wyżej idee występują już z pełną siłą i właściwą kolorystyką, w formie odrodzonej przez poezję ludową. Kierunek t. zw. wywrotowy jest jeszcze silniejszy, niż dawniej; zamiast wahania i lęku przed gromem pomsty wzmaga się oburzenie, wielka gorycz i zrezygnowany smutek, który wie, że burza się zbliża i przyjść musi.

Oj, żebym ja poszedł ino przez pole
I policzył lzy, co płyną na rolę
Strach by było z tego siewu żąć żniwo,
Bo by kłosa były krwawe na dziwo!

Znak apokaliptyczny, utajony w głuchych ziemią idących pomrukach, zupełnie konkretne, nie dające się usunąć pytanie życia i śmierci dla Polski zajmuje całą wewnętrzną psychikę Konopnickiej, ukazując jej nawet bogactwo ojczyściej przyrody, jako tragiczną krasę krajobrazu, w obliczu krwawych ludzkich łez. Przepych naturalnych barw drwi i szydzi z cierpień człowieka, na ziemi mimo wezwań i protestów poetki nie zmienia się nic, gorzej jeszcze, chwile bezwładu i martwej ciszy zdawały się przeczyć nawet nadziei poruszenia mas ludowych.

Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me na trwogę,
A sennych chat,
Gdzie lud, gdzie brat
Rozbudzić dziś nie mogę.

Więc z głębi piersi bardzo zbolącej wyrwa się szereg kosmicznych pytań, wybucha głos dziki bezprzytomny, sięgając tam, gdzie harmonja planetarnych układów wszechświata odpowiada na wszystko milczeniem. O Bogu ma Konopnicka pojęcie własne, oparte nie tyle na przesłankach filozoficznego systemu, ile zaczerpnięte z głębi jątrzącej rany serca, przesiąkniętego trwogą przed bezlitosnym fatalizmem losu.

Zachowaj słowo cierpliwości moje
Jam ten co wilki i jastrzębie poję,
A patrzę jak rwą jagnięta w dwoje.
Ten, co ujmuje ginącym od głodu,
A mnoży skarby możnego od rodu
I przeciw słabym umacnia mur grodu.

A słowa te nie zawierają taniego bluźnierstwa, szkolarskiego szablonu pozytywistycznego, jak chcą różni mistrze inkwizycji. Czuć w nich wielkie napięcie uczucia, nagi wyraz bolesnej treści, bezwzględną szczerłość wobec siebie i innych — słowem spełnienie pierwszego obowiązku artysty. Więc ratunku niema nigdzie? Trzeba czekać bez czynu i woli rozwojowego biegu historii? Przecie temu przeczy cała twórczość Konopnickiej. Poza chwilami rozpaczego pesymizmu i bolesnego zapamiętania, po przez całość jej pieśni snuje się nić nadziei, dźwięczy rzeźka pobudka nowego życia.

Słyszę, słyszę gdzieś w przestrzeni
Tajnych hasel ruch.
Łzy otrzyście uciśnieni,
Oto idzie duch.

Na czym opiera się ta wiara? Rządy opatrności, a raczej rządy rozumnego i dobrego Boga usunięte, cud nie zbawi nikogo. Pozostaje tylko człowiek, żywotne niespożyte dotąd siły ludzkości, w konkretnym zastosowaniu do rzeczy ojczystych, siły polskiego ludu. Oto fundament na jakim, mimo wszelkie chwilowe zwątpienie, buduje poetka wiarę przyszłości,

rdzeń ideologii. Podkreślić tu trzeba wyraźnie, że wewnętrzną treścią ogólnych humanitarnych pojęć i hasel jest zawsze to, co Konopnicka dziedziczy po pieśni romantycznej — nieszczęście zgorzałego domu, stalowy szcęk stuletnich kajdan, ponure widmo śnieżystych tajg. Specyficzne warunki życia naszego i konieczność pracy twórczej pod okiem cenzury warszawskiej składały się na niedomówione ogólniki, międzywierszowe odstępstwa, półsłówka i przenośnie, z pomiędzy których wysuwała się przeraźliwie dotykalna prawda niewoli. I gdy tylko w początkach wieku XX-go zmieniły się nieco zewnętrzne okoliczności, indywidualna konsolidacja twórcza poetki i dojrzałe uświadomienie sobie własnego ja uderzyło już bez żadnych omówień w mocny wyraźny ton *polskiego dogmatu*. Zbiorek p. t. „Nowe pieśni“, cykle „Głószy w ciszy“, „Ludziom i chwilom“, wreszcie „Pan Balcer w Brazylii“ znamionują wyraźnie to wypowiedzenie się pełnej już dojrzałości twórczej, swobodny wyraz tego, co dotąd musiało bezgłośnie kryć się w głębinach. Charakterystycznym jest dla tego ostatniego okresu, wzmagające się coraz uczucie pełni życiowej, mężka zdecydowana moc uczucia, jakaś dziwna wszechstronność talentu ¹⁾, ujawniająca

¹⁾ W organie młodej Polski „Życiu Krakowskim“ pojawiają się, np., fragmenty „Imaginy“, jaskrawo różniące się od tego, co dotąd pisała Konopnicka.

się, naprzykład, w rodzajowym malowaniu prowincjonalnych właściwości ludu wiejskiego. Jednak nawet podczas tego ideowego i artystycznego pendant do finalnej pieśni nadziei „Pana Balcera w Brazylii“, nie miała poetka niewzruszonej otuchy i pewności siebie. Miłość nie zaślepiała jej. Przerażone oko spostrzega, że lud nieprzygotowany jeszcze do przyjęcia posłannictwa, nieprędko dojdzie raclawickiej miary. Bolesna trwoga oparta o rzeczywistość wskazuje dobitnie, jak wiele musi się zmienić dokoła, zanim ruń zielona życia porośnie na nieobeschłych świeżych mogiłach.

Pusta, martwa nasza niwa,
Ugorowy szlak.
Wicher tylko nad nią lata,
Lata tuman-ptak.
A po szlaku ugorowym
Chodzi smętny duch;
Gdzie są, gdzie są pracownicy,
Gdzie jest życia ruch?

To życie jest i być musi, jeno głęboko gdzieś ukryte przed oczyma ludzkimi; szare milczące tłumy pracowników snują się po polskiej ziemi, tylko niema owej siły cudownej, coby wyzwoliła drzemiące w nich potęgę, zelektryzowała mechanicznie poruszające się nietylko ciała, lecz myśli. Siła ta jest; imię jej — oczyszczająca moc wielkiego cierpienia, przepalający do cna ogień tęsknoty i ukochania ziemi ojczystej.

Jestem zasadniczym przeciwnikiem przypisywania poezji wieszczych motywów; zwykle jest to ładny, mniej lub więcej, zużyty zwrot retoryczny, w który nikt zresztą szczerze nie wierzy. Ale z drugiej strony intuicja głębokiej, wrażliwej, skoncentrowanej w sobie duszy artysty wiele może. Ma ona zdolność niezwykłą wczuwania się w cudzą psychikę, potrafi wyczuć żywicę, przesycającą powietrze, wsłuchać się w szybki gorączkowy puls życia narodu, w syntetycznym ujęciu zakreślić pewne istotne linie przyszłego rozwoju. Otóż w *tych rozumieniu* uważam, że Marja Konopnicka w wielkim epickim finale poetyckim swego życia dała względną odpowiedź na trwożne pytanie zasadnicze. Jak już wspomniano wyżej, w „Panu Balcerze“ przemawia bezpośrednio samo życie, zarysowuje się szeroki obraz epicki zbiorowej duszy ludu. Jakaż jest zasadnicza idea poematu? Pomijam tu bez komentarzy humorystyczne raczej niż poważne przypuszczenie jednego z t. zw. krytyków „Młodej Polski“¹⁾, że Konopnicka nie miała

¹⁾ Już to wogóle p. Antoni Mazanowski nie ma szczęścia do Marji Konopnickiej. „Obrazki“ napawają go panicznym strachem przed jej rewolucyjnością; gdy chce zganić poetkę, np., za to, że nie dorosła do „katechizmowego“ pojmowania Boga, oddaje jej mimowolnie najwyższą pochwałę, gdy chce chwalić za rzekomą troskę o dobro obszarników ziemskich, to czyni to tak zgrabnie i w przekonującej sposób, że „chroń mnie

nic innego do roboty, jak wykazaniem zła emigracji powstrzymać odpływ robocizny i uspokoić nerwy wielkich właścicieli ziemskich, przerażonych utratą sił najemnych. Zupełnie innej natury jest suppozycja Majkowskiego ¹⁾, który źródła pomysłu „Pana Balcera“ szuka w kazaniach sejmowych Skargi, w pamiętnej chyba wszystkim przepowiedni: „Będziecie nie tylo bez pana krwie swoiey, y bez wybierania iego, ale też bez oyczyzny y królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni y wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was przedtem ważono, będą“. Hipoteza ta jest poważna i bynajmniej nie pozbawiona uzasadnienia. Zarzucić jej wszakże można *literackość*, polegającą na tem, że ignoruje ona czynnik najważniejszy, jaki uwzględnić trzeba przy genezie „Pana Balcera“, mianowicie, same *ówczesne życie polskie* (oczywiście nie w naiwnej interpretacji p. Mazanowskiego), jego kierunki i naczelne prądy. Ogromnej wagi jest tu okoliczność, że czas, w którym rozpoczęła Konopnicka pracę nad „Balcerem“, to ostatni dziesięć lat zeszłego stulecia, chwila wcale już pokaźnych pier-

Boże od moich przyjaciół, bo od moich nieprzyjaciół, to już ja się sam obronię“. Kto ciekawy, może tę pseudokrytykę przeczytać w oryginale w „Charakterystykach literackich pisarzów polskich“ w tomie XX.

¹⁾ Biblioteka Warszawska, rok 1907 „O chłopskim eposie Konopnickiej.“

wocin młodego ruchu polityczno-społecznego w Królestwie i Galicji, a nawet pewnego poruszenia umysłów, coprawda w kierunku iluzji ugodowo-organiczných, w Wielkopolsce. Przecie w tym właśnie okresie przypada głośny już rozgwar walki polemicznej, którą wiodła na gruncie warszawskim grupa zorganizowana dookoła „Głosu“, padają hasła śmiałe, radykalne, jak na robotę „legalną“, młodzi przeciwstawiają się stanowczo apolityczności pozytywistów, uczą społeczeństwo *samoistnej* koncepcji politycznej, zupełnie wyraźnie ogłaszają dogmat wiary w lud polski i jego siły żywotne, nie lękają się nawet zarzutu klasowości, głoszą niedwuznacznie, że przed interesem warstwy ludowej musi ustąpić interes t. zw. warstw wyższych, *musi* ustąpić w imię konieczności historycznej, w imię nawet prostego obowiązku narodowego. Bo lud, to jutro Polski, bojownik jej trwania i przyszłego bytu. Pod ziemią robota szła znacznie dalej pod wszelkimi względami, równocześnie w Galicji można zauważyć pierwsze już czynne przejawy samodzielnych partji robotniczych i chłopskich, słowem wzmożony był ruch na wszystkich niemal placówkach. Ale, z drugiej strony, był to dopiero początek akcji, ofiarne usiłowania niejednokrotnie spotykały się z oporem, obojętnością, ponurą apatią albo, gorzej jeszcze, zawziętą, mściwą pamięcią na krzywdy wiekowe, tępą niewiarą w ojczyznę, co ~~była~~ **zawsze ma-**

Dusza ludu w Panu Balcerze. 2

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECII WARSZAWSKIEJ

17

cochą, w swoich, co tak długo zwlekali z przyznaniem najmniejszego ustępstwa z przywilejów, aż ich zastąpił obcy. Więc nieraz zniechęcenie ogarniać mogło nawet najsilniejszych, przed oczyma rozpalonymi żarem walki i męki stawała trwoźna zagadka przyszłości dalekiej, ciemnej, niewiadomej. Niejedna taka chwila, w której dłonie na mgnienie opadły, znalazła swój odblask w piśmie i słowie publicznym; ile ich było „w nocnych rodaków rozmowach“, w najbliższym gronie towarzyszków pracy publicystycznej, któż policzy? Więc nie dziwota, że tragizm położenia odczuła Marja Konopnicka, że to dziecko Warszawy wrażliwe i czujne na życie całej Polski, zadumało się boleśnie nad grozą tragicznego losu, że uderzyła ją niedola nasza pod różnorodną postacią, że postanowiła dać jej wyraz w symbolicznej tragedji chłopca polskiego. Tego chłopca prostaka, który rolę swą i wiarę nad życie miłuje, a musi iść do obcej krainy na nędzę i poniewierkę, porzucić ziemię rodzinną, bo na niej brakło miejsca i sposobu do życia, bo mu źle było i ciemno wokoło, bo nie dano mu wyznawać wiary ojców i poczuć się jawnie polakiem. Ale to jeszcze nie wszystko. W dalszym rozwoju surowej samotnej zadumy wysunął się na czoło moment inny, dalszy, zasadniczej wagi dla całej narodowej przyszłości. Trzeba było odpowiedzieć na ważkie palące pytanie: Kiedy chłop polski uzna się w świadomo-

ści swojej, kiedy ta ziemia krwią zlaną przemówi doń głosem żywym, w jakich warunkach stanie się niemożliwą tragedja tylu chwil przyszłości, aż do dni niedawnych włącznie? Oto, gdzie leży zdaniem moim węzeł zrozumienia i odczucia tego poematu, tej martyrologji krwią i łzami pisanej, imponującego finału, pieśni Konopnickiej, w całej jej rozwojowej potędze i zawsze jednakiej, choć z pozoru różnej treści.

W samym poemacie mamy wskazówkę nie-dwuznaczną:

Więc to już chyba nie jeno z trafunku
Poszło, a raczej z górnego przejrzenia,
Więc z jakowegoś wielkiego rachunku,
Z rejestrow, co są od świata stworzenia,
Więc musi tam jest potrzeba ratunku,
Więc musi tam jest potrzeba nasienia,
Kiedy nas Pan Bóg tak tęgo omlócił,
Wichrami odwiał z plew i światem rzucił.

Albo jeśli kto woli, weźmy inny urywek, nie tylko wykreślający kierunek myśli, ale znamienny nawiązaniem do dawnej, a może współczesnej emigracji szlachty i inteligencji polskiej.

Dawno szli insi w tułacze krainy
Tęskności, gdzie się miłowanie rodzi.
Był duch osobny z osobnej przyczyny,
Co ich na czarnej wyprawował łodzi...
Lecz w tem bić jęły naglące godziny,
(Iż to tam zegar Boży różnie chodzi).
Tak już nie było co czekać w tej porze
I do pół Polski runęło za morze.

Na obczyźnie obejrzała się za siebie dziewicza, nieskrystalizowana jeszcze dusza chłopska, obudziły w niej się instykty rodzone, ale nieświadome, odczucia i ruchy, na razie ślepe, później coraz pełniejszą znaczone samowiedzą. Oto przysła za morze rzesza niesforna, kłótliva, obca sobie wzajem, nie mająca jasnego poczucia żadnej innej łączności, prócz może wiary katolickiej i pewnych cech związanych z zawodem rolniczym. Ale przeszła gromada przez wielkie wspólne cierpienie, serca poznały się z siłą „co droższym czyni swój zagon od złota“, z niezbytą potęgą tęsknoty, z rozbudzonym żywym miłowaniem. Ziścił się cud. U końca powrotnej drogi zupełnie już inny roztacza się zarys wewnętrznej psychiki:

Dość było spojrzeć po naszej gromadzie,
By poznać ową zaprzysięgłość ducha,
Co pieczęć swoją gorzejącą kładzie.
Gdzie popierw była tylko glina krucha.
Cóż nam stać mogło teraz na zawadzie,
Gdy z każdej piersi żywy ogień bucha?

Jakaś dostojność, jakowaś powaga,
Jakaś zaduma wybiła na lica,
Jakaś się w duszy ociężyła waga,
Za syna miał się naród, za dziedzica.

Teraz pozwolę sobie zwrócić uwagę na ważną okoliczność chronologiczną. Czy nie jest czasami symptomatyczne, że nieobecność chłopca na ziemi polskiej wypada akurat w roku 1905-tym

podczas znanych ruchów wolnościowych, które nie doprowadziły znowu spraw swych do końca? Czy nie rzuca wiązki światła na złotą nić Arjady fakt, że chłopci wracają dopiero po ukazie tolerancyjnym wtedy, gdy, zdawało się, nastawała nowa era i trza było tylko obudzić nowych ludzi plemię ¹⁾? Dowody mnożą się pod ręką zarówno na zasadzie kontekstu, jak faktów wziętych z życia. Wszystko zatem upoważnia do zdecydowanego twierdzenia, że „Pan Balcer w Brazylii“ *istotnie jest zamknięciem księgi ideowej i artystycznej, jest osobistym testamentem wiary i myśli Marji Konopnickiej.* Jeśli teraz dodać do tego pewne konieczne atrybuty, jakim musi odpowiadać epicki wizerunek psychiki zbiorowej, ogromną trudność uchwycenia zasadniczych rysów charakterystycznych, nie w ustalonym kształcie, lecz w rozwojowej dynamice przeobrażeń, stanie się zupełnie jasną rzeczą, czemu obiektywna krytyka literacka musi stosować specjalną miarę do różnych wad konstrukcyjnych poematu. Estetycznie biorąc, wytworzyła się w tym utworze pewna dwoistość, komplikująca ogromnie warunki twórcze. Z je-

¹⁾ W rzeczywistości pamiętamy wszyscy dobrze, że w ruchu umysłów i serc w roku 1905-tym chłop nie brał udziału, jednak wstrząśnienia, jakich był świadkiem, nie przeszły bez głębokiego śladu, co stwierdzi każdy, kto ma obecnie bliższą styczność z ludem wiejskim.

dnej strony wysunął się na plan pierwszy aprjoryczny nakaz z góry powziętych celów ideowych; rzecz cała przeniosła się na emigrację w oderwaniu od ziemi rodzinnej i zwykłych warunków życia, z drugiej strony realistyczna wierność i prawda artystyczno-życiowa w odtworzeniu natury chłopca polskiego, domagała się koniecznie pozostawienia go na gruncie, z którym się zrosł, wśród codziennych okoliczności jego egzystencji, które właśnie przez długie nieprzerwane działanie wytwarzają swoistą odrębną fizjognomję duchową. Okazało się, że nawet Konopnicka, która bezsprzecznie posiada głęboką znajomość właściwości ludu, nie mogła sobie bezkarnie pozwolić na taki eksperyment. Wartości estetyczne musiały zapłacić pewną dań na rzecz myśli naczelnej; idea, abstrakcyjny swój wyraz przystosowała w znacznej mierze do wymagań realizmu twórczego ¹⁾. W tej współzależności, która nader często oddziaływa wzajemnie w kierunku niepożądanym, tkwi przyczyna wszystkich prawie poważniejszych usterek epopei chłopskiego tułactwa. Rzuca się, np., w oczy odrazu

¹⁾ Najjaśniej to może widać podczas wypowiedzania się pana Balcera w kwestjach religijnych. Zwykle czyni on to zupełnie naturalnie, pozostając nawet wtedy, gdy buntuje się przeciw Bogu, prostodusznym kowalem; zdarzają się jednak miejsca, naprzykład zwrot o krzyku przeciw naturze, gdzie poetka przemawia właściwie sama.

zrozumiała skądinąd, ale psychologicznie ujemna idealizacja ludu polskiego, umyślne podkreślenie pewnych cech przy usuwaniu w cień innych. Tendencja ta nie panuje zresztą wszechwładnie, czego dowodem postać Opacza, kontrastowe porównanie sprawności życiowej Niemców z niedołęstwem i brakiem zaradności i rozgarnięcia ze strony gromady polskiej, oraz szereg innych na gorącym uczynku, schwyconych epizodów, które nieraz składają dobitne świadectwo naszej osławionej „słowiańskiej“ naturze. Ale są to tylko drobne przejawy. W całości kształcie swej galerji ludzkiej jest Konopnicka stanowczo zbyt optymistycznie usposobiona, chwilami nawet zapomina o bezspornych lubo może mniej zachwycających znamionach, jakie na duszy chłopskiej wycisnąć musiało wielowiekowe jarzmo niewoli ¹⁾. Daje się też wyczuwać tu i owdzie pewna sztuczność, polegająca głównie na tym, że samookreślanie indywidualne czy zbiorowe nie odbywa się przez działanie, czy obserwację poruszeń życiowych, lecz przedewszystkiem za pomocą narracji, ładnych, słuszných, nawet charakterystycznych, ale zawsze tylko słów. Ciekawe jest ta-

¹⁾ Idzie mi między innymi o cechę, którą świetnie określił Gogol jako „пошлость пошлаго человека“ (wedle tłumaczenia prof. Zdziechowskiego wyrazu „пошлость“ dosłownie nie da się przetłumaczyć, w przybliżeniu znaczy on przyziemność).

kże, szczególnie w stosunku do indywidualności Konopnickiej, pominięcie spotykanych w codziennym życiu gradacji ekonomiczno-społecznych, oraz wyrazisty, odrębny, ale zarazem par excellence typowy rysunek psychologiczny wszystkich postaci, tworzący w nich, w pierwszym rzędzie, uosobienie pewnych właściwości, a potem dopiero realne, z krwi i kości złożone, indywidua.

III. GALERJA ŻYWYCH LUDZI.

Przy przejściu do bardziej szczegółowego rozbioru powstaje mimowoli pytanie podstawowe, czy Konopnicka wogóle jest zdolną do konstruowania żywych kreacji ludzkich? Rozlewna fascynująca siła osobistego liryzmu, który przesiąka jej poezje i wybitna konkretna ideowość całej twórczości sceptycznie nieco usposabiają pod tym względem. A jednak bliższe rozpatrzenie w jej spuściźnie poetyckiej zmusza do uznania wszechstronności talentu, który potrafił pogodzić, nieraz w jednym i tym samym utworze, osobisty kierunek uczucia i uogólniający wpływ momentu społecznego z istotną uderzającą prawdą w obserwacji przeżyć żywej jednostki ludzkiej i realnych stosunków życiowych. Prawda, że umiejętność ta rozwijała się stopniowo: w „Obrazkach“ pierwszej serji była w stanie utajonym, w „Obrazkach“ drugiej serji, oraz

„Piosnkach i piosenkach“ wychodzi coraz bardziej na jaw, bardzo wyraźnie zarysowując się w całej niemal nowelistyce. Tutaj wykazuje się już dobitnie dar Konopnickiej wewnętrzno i zewnętrzno¹⁾ malowania duszy ludzkiej. Ludzie jej mają przedewszystkiem jedną cechę wspólną, która nie przeszkadza ich swoistej odrębności psychicznej. Cechę tę stanowi cierpienie; w nowelach jest ono indywidualne; wynika zazwyczaj z krzyżujących się nawzajem uczuć jednorodnych. Dusze ludzkie „wstają naprzeciw siebie, jak potężne realności, uderzają się ostrymi kantami, kochają i ranią się wzajemnie“, nikt nie jest w stanie przynieść im ulgi²⁾. Poetka ma dla nich głębokie tkliwe współczucie, ale nie znajduje rady i pomocy, przeżywa razem z nimi ból i nędzę, usprawiedliwiając zwykle obie współrzędne strony. Jako ilustrację weźmy choćby tragiczny antagonizm dwóch równouprawnionych niešťęśliwych serc w „Pannie Florentynie“ albo starcie dwóch surowych egoizmów, które obydwaj mają słuszość za sobą w „Stachu Szafar-

¹⁾ Np. drobiazgowe i bardzo subtelne opisanie zmian zewnętrznych jakim podlega fizjognomistyka więźnia podczas pobytu w celi.

²⁾ Na stosunek poetki do ludzi przez nią tworzonych, zwraca baczną i trafną uwagę L. Belmont, w ciekawym szkicu o nowelistyce Konopnickiej — w książce zbiorowej, wydanej z powodu jej jubileuszu. (1962 r. Kraków).

czyku“. Wbrew rozpowszechnionej dość opinii, już w nowelach Konopnickiej nie było wcale monotonii nastroju; potrafi ona operować wielobarwną kolorystyką rodzajowych obrazków, śmiać się dobrodusznie i szczerze, np. „Panna Marjanna w Brazylii“, która jedzie za morze, leżące „dalej jeszcze gdzieś za Częstochową“, czasem bryznąć zawsze trafnie zaadresowaną ironją. W „Panu Balcerze“ osiągnięty został artystyczny zestrój tych odrębnych pierwiastków psychoanalizy. W poemacie tym cierpią wszyscy; ból ich jest równie własny jak tam w nowelach, tylko podłoże jego szersze; zamiast czysto osobistych konfliktów występują pewne prawa i uczucia ogólne, tkwiące w każdej, przedewszystkiem zaś polskiej naturze. W związku z tą zmianą tła uczuciowej tragedji, przeistacza się jej przeznaczenie. Męka wewnętrzna, dochodząca chwilami do zenitu, nie obraca się już w zaczarowanym kole fatalistycznej bezcelowości, przeciwnie zyskuje wyraźny odcień teleologiczny, łamie słabsze jednostki (Przytuła), ale z silniejszych, z gromady całej dobywa granitowy kruszec hartu i świadomej mocy. Mimo jednak powagi, często grozy sytuacji, wysokiego i głębokiego napięcia ekspresji dramatycznej, mimo widocznego współodczuwania poetki z okrutną dolą tułaczego ludu, realizm twórczy nie pozwolił jej pokryć całości jednostajnym kirem smutku. Nigdzie niema sentymentalnego zawodzenia, nastrój ogólny nie

jest bynajmniej ciężki i przygnębiający, często gęsto można spotkać sceny, tryskające naturalnym niewymuszonym humorem, niekiedy zlekka zabarwione sardonicznym uśmiechem. Ta rozmaitość barw, mieniająca się tysiącem światła i cieni na tych jasnych, końcowym hymnem nadziei opromienionych kartach, stanowi bardzo poważny czynnik w plastyce i wielostronności działających postaci. Niektóre z nich skreślone są mocno, z widocznym staraniem o charakterystykę względnie wyczerpującą, choć może zbyt mało zindywidualizowaną; inne ujęte są w kilku rzutach szkicowych, wszystkie bez względu na ogromną ilość i wiele jeszcze specjalnych warunków niesprzyjających, mają odrębny swoisty wizerunek. Nikt nie ginie w tłumie, nikt nie ma sztywnych ruchów tekturowej lalki, choć wszystkie stanowczo zadużo mówią, a zbyt mało działają, wszyscy bez wyjątku szwankują poważnie na punkcie dynamiki osobistej. Na czoło tego ludzkiego mrowiska, co w gorączkowym poszukiwaniu czegoś nieznanego wywędrowało aż za morze dalekie, wysuwa się kowal wiejski, Pan Balcer, w którego usta włożyła Konopnicka bolesną opowieść o jedynej w swoim rodzaju pielgrzymce polnego narodu. Pan Balcer nie jest, ściśle biorąc, bohaterem¹⁾. Węzłowe nici

¹⁾ Nie posiada on między innymi głębszego uświadomionego poczucia osobistej indywidualności

akcji nie zbiegają się w jego osobie, ale jest on przewodnikiem moralnym gromady — bohatera, (szczególniej w drugiej części poematu), w całej rozciągłości, z natury swej roli, ogniskuje w sobie powszechne wspólne uczucia i myśli, przedstawia najwszechstronniej pojęty typ ludowy z niewielką domieszką mieszczańskości, a raczej pewnego światowego bywalstwa. Dlatego też niechaj wolno będzie zwrócić na niego baczniejszą uwagę, poświęcając mu więcej, niż komu innemu, czasu i miejsca. Zaraz na wstępie uderza w Panu Balcerze harmonijny rozwój *psychofizyczny*. Żyłaste zaprawione do najcięższej pracy ręce, muskularne szerokie w kroku nogi, jędrna tężyzna całego organizmu, raz po raz ujawniająca się na zewnątrz w poczuciu nadmiaru sił, wąs zawadjacko podkręcony, na bakiernieco zsunięta czapka — wszystko to odpowiada doskonale krewkiej, mocnej i zdrowej wewnętrznie naturze „kowała od Liwca“ i jego nieskomplikowanym, prostym, a żywiołowo silnym i prawym uczuciom, swoistemu niezmiernie charakterystycznemu pogładowi na świat i życie. Wszystkie jego czynności nacechowane są

w stosunku do gromady, tego poczucia, które cechuje zazwyczaj odrębną organizację jednostkową i każe, np. „W Roztokach“ Orkana, Rakoczemu z całą siłą walczyć i przeciwstawiać się inercji tłumu, w danym wypadku gromadzie starych góralskich gazdów.

przyrodzoną energją, rzutkością i pewnością siebie; wiązała psychiczne, spójne i twarde, nie rozluźnił ich jeszcze deprymujący wpływ konwencjonalnej, nieszczerzej i przerafinowanej cywilizacji współczesnej. Niewyjałowione przez chorobliwą autoanalizę namiętności wybuchają odruchowo, fizyczna gotowość do bitki i wymierzania sobie samemu sprawiedliwości łączą się z gwałtownym temperamentem wewnętrznym, żywą zmiennością nastroju, który błyskawicznie oscyluje między rozpaczą, a nadzieją, smutkiem, a weselem, gniewem, a pewnym swoistym stoicyzmem. Serce posiada Pan Balcer dobre nawskroś, żywo odczuwa niedolę innych, czego dowodem choćby fakt przygarnięcia Jaśkasieroty. Eksplozywność uczucia nie wyklucza jego trwałości, naprzykład, w stosunku do młodziutkiej narzeczonej, którą skosiła mu śmierć bezlitosna żniwiarka, Pan Balcer nie tylko pod świeżym wrażeniem mało nie pada trupem i zapamiętuje się w srogiej żałości, ale jeszcze serdeczną żywą pamięć swej niebogi zachowuje na zawsze. Uczuciowość jego szorstka jest i pierwotna, miejscami tylko zlekka złagodzona pierwszym powiewem kultury; niema w niej nic miękiego, sentymentalnego, surowa dłoń życia od młodu rozpoczęła nauką hartu, na małą tylko chwilę mogły go zmódz nad wyraz ciężkie warunki dusznego upragnienia i cielesnej nędzy, choroby i tej strasznej obłądnej włóczęgi, która

zdawała się często bez końca i nadziei. Ale nawet w najgorszej potrzebie, gdy ledwo dech się w ciele kołatał lub wściekłość wyrwała mu na usta przekleństwa doli i złorzeczenia Bogu, nie było w tym wszystkim ani kropli kobiecej słabości, żałośliwych rozczułań się nad sobą i łzawych żalów nad innymi.

Bo jest najgorzej przydawać żalości
Do onych niemych zgonów i do męki.
A wszak i ludzie rzekają to prości,
Że twarde serce najlekszej jest ręki.

Nad całym systematem uczuciowym Pana Balcera góruje żywe, mocne jak śmierć, choć niezawsze jednako skryształizowane, umiłowanie ziemi ojczystej, uzewnętrzniające się w danym wypadku w postaci nieuhamowanej niczem, żrącej do cna tęsknicy. Daje się także zauważyć silny, choć w znacznej mierze nieświadomy instykt solidarności gromadzkiej.

Dla charakterystyki umysłowości Pana Balcera znamieny jest przedewszystkiem trzeźwy chłopski rozum, konstruujący swe pojęcia samorzutnie i konkretnie, obdarzony wybitnym zmysłem obserwacji i samodzielnego wnioskowania. Oczywiście nie można przeceniać tych cech w realnym ich zastosowaniu. Na zwykłą praktyczną potrzebę i zaspokojenie, mało zresztą złożonych aspiracji, wystarczały one najzupełniej; ilekroć jednak chciał się Pan Balcer puścić na

szerokie pole teoretycznych uogólnień, rzecz prosta, wykazywał się jak na dłoni brak podstawowego wykształcenia, technicznej gimnastyki myślowej i charakterystyczna dla ludzi prostych niezdolność konsekwentnego oderwanego myślenia. Tak naprzykład, religijność Pana Balcera ma w sobie wybitne zarodki zdrowej, trzeźwej krytycznej orientacji, co nie przeszkadza wcale temu, że podstawy swej wiedzy teologicznej czerpie z sennika i legendarnych podań, tak samo, jak wiara w różne zabobony i przesądne praktyki nie wyklucza bynajmniej wcale krytycznych i słusznych uwag w poszczególnych wypadkach lub nawet gwałtownego występowania przeciw takim, a nie innym rządóm Boga. Jaskrawy zewnętrznie dokumentowany katolicyzm i potęga osobistego uczucia religijnego, które wespół z chłopskim rozsądkiem kłóci się nieraz wyraźnie z prawowiernością katolicką — oto co stanowi w danym razie linję uogólniającą.

Podobne zjawisko jak w sprawach, tyjących się religji, można zauważyć i w poglądach społecznych, jądro zda się tu stanowić konserwatywna w wysokim stopniu logika osiadłego polskiego chłopca, która szczególnie jaskrawo występuje wtedy, gdy zmiany dotyczą bezpośredniego samego. Z drugiej strony w parze nieraz z tą instynktowną zachowawczością wykazuje się istotne zrozumienie potrzeby równouprawnie-

nia społeczno-ekonomicznego i odruchowe silne dążenie do swobody.

Jako ma równość nad całym być światem;
Ani się nędzarz uwzdycha za strawą,
Ani się bogacz w dukatach zakopa,
Ni szlachty wtedy nie będzie, ni chłopa,
Dobrzećby było to! lecz radbym wiedział,
Kto będzie majstrem, a kto czeladnikiem,
Kiedy i w kuźni ustanie ten przedział,
A chłopak mi się zastawi równikiem?
Człek się na prawie majsterskim osiedział..
Jest w cechu; tego nie zliżać językiem,
Chorągiew bracką nosi, ma w Krakowie
Brata, co ksiądz jest, Balcerski się zowie —

powiada Pan Balcer w przepysznym, jedynym w swoim rodzaju rozumowaniu. Te pozorne sprzeczności pojęciowe nie przeciwstawiają się jednak sobie; uwydatniają tylko powszechny u ludzi niewykształconych, o pierwotnym mechanizmie myślenia, brak konsekwencji w konkretnym, szczególnie zaś osobistym zastosowaniu ogólnych abstrakcji. Przypomina mi się tu świetnie zilustrowanie tej właściwości przez Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy“: „co jest złe, pytał Staś murzyna Kalego. Złe jest, jeśli ktoś Kalemu ukraść krowę, odpowiada dziki. Co jest dobre? Jeśli Kąli komu ukraść krowę.“

Ogólnie podnieść trzeba, że podstawową cechą „Kowala od Liwca“ jest zdrowa, w każdym

calu pełna, przeciętność życiowa, oddająca przedewszystkiem tę usługę, że pozwala mu odzwierciedlić w sobie względnie wszechstronny zespół pierwiastków jednostkowej psychy chłopskiej z jej prostoduszną naiwnością i przedsiębiorczym w praktyce rozsądkiem, prawdziwą i głęboką wiarą i nawykiem do praktyk odpustowych, pewną inercją pojęciową i żywiołowym upragnieniem wolności. Prócz tego wyczuwa się tu wyraźnie mocne przywiązanie, już nie tylko do własnej roli i wiary ojców, ale do całej Polskiej ziemi w jasnym zrozumieniu jej niedoli; odzywa się głośno nieomylny, choć może nie ze wszystkim dojrzały, gdzieś z wiecu Piastowego czerpany instynkt, wskazujący drogę wyzwolenia. Ale właśnie ten nadmiernie rozszerzony zakres, jaki ma w sobie zawrzeć Pan Balcer, przyczynił się bardzo do tego, że posiada on poważne braki z psycho-estetycznego punktu widzenia. Przedewszystkiem bezwarunkowo jest niedostateczną ilość i jakość wiadomości, t. zw. osobistych, jakie o nim posiadamy. ¹⁾ Prócz mglistych ogólników na temat kowalskiego rzemiosła i częstych, trzeba przyznać, wprost fotograficznie uchwyconych z rzeczywistości dygresji o bracie, który jest księdzem w Krakowie, nie wiemy już

¹⁾ Będzie to cechą ogólną wszystkich, ale szczególnie ujemnie zaznacza się w stosunku do postaci naczelnej.

prawie nic więcej o przeszłości Pana Balcera; wszystkiego trzeba się domyśleć na podstawie jego oratorskich występów, które coprawda zdarzają się co chwila, ale które w znacznej części dotyczą go tylko jako typu. W związku z powyższym stoi również ogólny zarzut zbyt dużej gadatliwości, przy zredukowanym, z natury rzeczy, działaniu. Tutaj także należy podkreślić specjalną słabą stronę narratora poematu, polegającą na tym, że w licznych wybuchach liryzmu, jakie mu wkłada w usta poetka, nie rzadko przestaje on mimowoli być sobą samym, robiąc wrażenie jakiegoś żywego gramofonu, który powtarza cudze pojęcia i uczucia z niemal absolutnym wykluczeniem osobistego współdziałania. ¹⁾

Rozciągam skrzydła, zakrzywiam pazury
I pierze rdzawe krwią na piersiach puszę,
Zaś spadam, błyskiem bijąc w mar tych chmury
Cały rozwiany w lotu zawierusze,
A ile chwycić i unieść mam mocy,
Tyle ich falom wrywam i nocy.

Urywek ten, który z całą słusnością mógłby być przypisany najwytworniejszemu poecie, jest w poemacie Konopnickiej niezaprzeczoną,

¹⁾ Nie mogę się tu zgodzić z entuzjastyczną oceną, jaką w tym względzie umieścił Walery Gos-tomski w Bibliotece warszawskiej, rok 1911.



przynajmniej na papierze, własnością małomiasteczkowego kowala. W zakończeniu tej opisowej charakterystyki zwracam uwagę na jedną jeszcze rzecz ciekawą. Pan Balcer bardzo głęboko odczuwa piękno polskiej przyrody; ma ją ciągle przed oczyma z realistyczną wyrazistością i siłą. Przeciwnie w odniesieniu do krajobrazów brazylijskich jest on bardzo mało wrażliwy na krasę naturalną, przechodzi zupełnie obojętnie obok całego przepychu barw, jakie widzi na obcej ziemi, najwyżej zatrzymując się gdzieś przelotną chwilę. Przyznaję, że niewiem, czemu fakt ten przypisać należy, ale skłonny jestem do przypuszczenia, że skrępowanie granicami rzeczywistej wrażliwości chłopca polskiego na obce cuda nie było tu decydujące; w grę wchodziło po prostu to, że Konopnicka sama w Brazylii nie była, więc odczucie i podmalowanie odnośnej kartografji stanowić musiało trudność dużą.

Jakby przeciwwagą pewnego przeidealizowania ogólnego typu ludowego jest eksmarynarz Opacz, przedstawiony bardzo żywo i plastycznie. Włosy kręte, głowa nieforemnie duża, przez ramię przewieszony szynel wojskowy, w zębach cygareto, w oczach błysk bezczelności i egoizmu. Tak przedstawia się zewnętrzny portret tego chłopca zdrowego jak dąb, którego wewnątrz toczy jednak robak zgnilizny moralnej. Leniuch do szpiku kości, jak ognia boi się wszelkiej systematycznej pracy; za młodu chadzał luzem

przy drożnym szarwarku, potem służył w Odesie w marynarce, przetarł się trochę w świecie, ale ta wojażerka, w nieszczególnych zresztą warunkach podjęta, przewróciła mu tylko w głowie i w sercu, ścierając resztkę prostych wiejskich obyczajów, aby wzamian za to zaszcześcić silnie ziarno korupcji etycznej. Po polsku mówi Opacz kiepsko, co krok zarywając ruszczyznę, święcie przekonany, że to ostatnie oznacza wyższość umysłową. Próżniacze i hulaszczę życie w wojsku przypadło mu bardzo do gustu i z żalem widocznym wspomina, czy trzeba, czy nie trzeba, Odesę, gdzie to służywał we flocie. Jako patentowany blagier i okpisz, na zawołanie ma zawsze dykteryjkę dowcipną, czasem jednak składającą się ze steku nonsensów.

— Cóż tam za morze! — mówił i pluł ślinę, —
Niech mi połóży kto ze dwa soroki
Rubli, tak brat mój, choć w poprzek przepłynę.
— Dla Boga, — krzykną baby, gdyby sroki, —
Przez tyłą wodę? przez tyłą głębinę? —
A on: — Nie takie ja widział w Odesie. —
Tak baby: — Reta! — a on: — Nie bójcie się!...

Uczuć głębszych ze sfery idealniejszej nie posiada Opacz wcale, chyba że można do nich zaliczyć czysto materialny egoizm, który wypełnia go po brzegi. Nic nie jest dlań nietykalnym, pogardza i drwi ze starych norm postępowania, nowe leżą za wysoko dla jego pojmowa-

nia. Zdolności umysłowe dość duże, zwłaszcza zręczny i szybko orjentujący się spryt życiowy; pod względem więc wyrobienia i obycia w świecie przewyższa Opacz chłopów o całą głowę; szydzi też z nich niemilosiernie w żywe oczy, wyzyskuje na każdym kroku, ze wszystkiego, co się zdarzy, umie wyciągnąć korzyść osobistą. Nawet łączność gromadzka i siła wzajemnego przyzwyczajenia, która zazwyczaj tak mocno zacieśnia węzły współzycia, dla niego jest pustym dźwiękiem bez znaczenia. Potrafi on związać się z obcymi w celu łatwiejszego obdzierania ze skóry swoich. Gdy gromada idzie w lasy na mozolny karczunek gruntu pod przyszły zagon, rozleniwiony do reszty długą próżniaczką w baraku eks-weteran marynarki odeskiej z lekkim sercem odłącza się od swoich, przekładając luźny łatwy zarobek i cygańskie życie w mieście nad ciężki, ale dzielony z innymi kawałek czarnego chleba z własnej roli. To samo widzimy i wtedy, gdy po długiej rozłące spotyka Opacz gromadę w drodze powrotnej; myśl jego krąży wyłącznie dokoła egoistycznego zysku, serdeczne uczucia wzbierają dopiero na widok pełnego trzosa. Reasumując, można powiedzieć, że Opacz przedstawia sobą wyjątek, bynajmniej jednak nierzadki, prostego życiowego spryciarza, o marnym charakterze i wyziębionym do ostatka uczuciu. Wyszyły tu na jaw złe, brutalne instynkty ludzkiego egoizmu, nie posiadającego żadnych

skrupułów, ni chwil wahania; ustępują one tylko przed siłą. Resztki szlachetniejszej polepy startł z nich fatalny wpływ wojska, które tak często odgrywa rolę złego omenu w stosunku do mniej odpornych osobników.

Kontrastowo odbija od Opacza jasny wizerunek wiejskiego patriarchy na miarę biblijną, Horodzieja. Starzec ten obdarzony niezwykłą powagą i autorytetem, stoi na straży nie tylko obyczajów i wiary ludu, ale jeszcze jego wewnętrznej mocy i czystości etycznej, żywego związku z tradycją przeszłości, wyraźnego i silnego samopoczucia indywidualizmu gromady i narodu. Jest on uosobieniem prostaczego świętobliwości i wysubtelnionego choć niezłożonego w objawach uczucia ekstazy religijnej; tkwi w nim coś z proroka, przez którego Bóg prawie bezpośrednio przemawia do ludu. Kosmogoniczne pojęcia Horodzieja są typowymi dla mistyki chłopskiej, o pierwotnym materialnym punkcie wyjścia. Kierowniczym poglądem jest specyficzne rozumowanie nie tylko już o fizycznej niemal opiece boskiej nad światem, ale nawet o specjalnym od wieka ustanowionym rozdziale pewnych funkcji władzy wykonawczej między poszczególne żywioły, — powietrze, ogień, ziemię, morze i t. d.

Nie bój się, jest u Żywiołu każdego
Prawo! A ciebie nie skryją i w niebie,

Jak ty Żywioly obruszysz na siebie.

.....
A tożem widział w Węgrowie w kościele,
Jak to Bóg Ojciec nad nimi panuje,
To mu się tylko powietrze to ściele
Do stóp, a ogień szaty oblatuje.
Tuż morze modre, jak u nas kolbiele
Nadbużne, takóž się do służby czuje,
A on Stworzyciel w wichrowej koronie
Ręce ma nad nim, a ziemię na łonie.

Każdy żywiol ma swego patrona. Nad ogniem stoi na koniu z włócznią św. Michał, powietrzu przeznaczony jest Eljasz na opiekuna, wodą rządzi Jan Chrzciciel, „ziemia zasie Chrystusa jest Pana, iż po niej stopką przenajświętszą chodził“. Horodziej stanowi chodzący, żywy zbiór podań legendowych, jest entuzjastycznym czcicielem wszechmądrych, choć czasem dla człowieka niezrozumiałych praw Opatrzności. Wedle tych praw wyższej natury chce urządzić życie; we wszystkich okolicznościach i wypadkach, które zdarzają się na ziemi, upatruje działanie rzeczy niebieskich, a nawet bezpośrednich wpływów Boga, np. wizja krwawej głowy Jana Chrzciciela, unoszącej się nad morzem. Wiara świątobliwego starca tchnie nieugaszonym, rozgorzałym do najwyższego stopnia ogniem osobistym, promienieje czarem, któremu trudno się oprzeć. Potęga szczerzej ekstatycznej egzaltacji uczuciowej rozsada ramy dogmatów i formułek religijnych, dobywa z nich ukrytą treść, odrzuca sztywną,

martwą skorupę zewnętrzną, która tak często odgrywa w tych stosunkach rolę decydującą. Znamienna jest tutaj scena z pochowaniem Przytuły, któremu ciemny, fanatycznie usposobiony Kos chce odmówić krzyża na grobie z przyczyny, iż jest on samobójcą. Ciasnemu pogładowi Kosa energicznie przeciwstawia się Horodziej, surowo karci jego niewczesną przesadzoną gorliwość.

Ty co?... Adwokat, ksiądz?... Patrzcie go jaki Spowiednik! Będzie tu czleka spowiadał,
Gdy się z nim Ojciec niebieski już zgadał.

Tak zwana mistyka Horodzieja, jeśli tak można stan jego uczuć religijnych określić, zawiera w sobie dużo zdrowego realizmu w odniesieniu do spraw ziemskich. Nie żyje on bynajmniej wiecznie w jakichś nadobłocznych sferach, przeciwnie, bierze osobisty udział czynny we wszystkich troskach i zabiegach swej gromady, radzi jej jak może i umie, gromi lub krzepi wedle potrzeby i nadarzonej okoliczności. Drżący głos starca z rozwianym siwym włosiem i na pół ślepymi oczyma, który podpierając się kosztorem dziadowskim, ledwo może podążyć za swoimi, posiadał, jak się rzekło, wpływ ogromny. Z uwielbieniem słuchają go kobiety, gdy im opowiada o dziwnych cudach bożych, które omal nie codzień dzieją się na ziemi; woli jego powinią się bez szemrania chłopci, Ignie doń nawet

najbardziej oporna młódź gromadzka, zrzadka tylko i przelotnie pozwalając sobie powstawać na uznany autorytet. Z głęboką czią odnosi się do sędziwego starca trzeźwy i roztropny w sądzie Pan Balcer. Pokornie, jak dziecko małe, spełnia jego rozkazy rozwścieczony, bezprzytomny walką i krzywdą Przytuła; nawet Opacz, choć jeden Bóg wie, co świta mu w myśli, musi pod naciskiem panujących stosunków ogólnych kryć się ze swym szyderstwem i brakiem szacunku, udawać powolnego, Stańła cicha niepisana umowa. Boży kmieć ławniczy gromadzie, jest głosem wewnętrznego sumienia. Z najcięższych perypetji wychodzi cało mimo przeszłego wieku, okazując olbrzymią świeżość i potęgę ducha, wyrobioną przez długie bardzo długie życie, praktyczną orientację i doświadczenie. Dopiero, gdy umęczone nad wyraz ptactwo tułaczce zbliżało się już do kresu wędrówki powrotnej, zwisa bezsilnie mleczna głowa, przestaje bić proste tak bardzo czyste i gorące serce. Przed śmiercią, w ostatnim wysiłku woli i wiary, słyszy kmieczy wajdelota, grające gdzieś w dali bezkresnej albo raczej w piersi stygnącej wnętrzu, dzwony z Jasnej Góry; w scenie hieratycznej, godnej dziejów Starego Testamentu daje ostatnie błogosławieństwo swemu ludowi, zaklinając go, by szedł do Polski.

W tradycji wiejskiej z niedawnych jeszcze stosunkowo czasów, aż nazbyt często spotkać

można takich mędrców w prostaczej siermiędze, co łączą analfabetyzm formalny z osobistą umiejętnością czytania w księdze życia i natury, głębokich w swej bezpretensjonalnej naiwności prawd i pewników. Dziś, oczywiście, skutkiem różnorodnych przyczyn znacznie trudniej o podobnych przedstawicieli religijno-moralnego patryarchatu; w każdym razie, jeśli nawet Horodziej nie jest malarską, czy rzeźbiarską kopią z istniejącego okazji, posiada on wszelkie wymagalne atrybuty żyćowości i bezsprzecznie zaliczonym być winien do najbardziej udanych figur w poemacie.

Horodziej nie stoi sam; znajduje on w pełnym stopniu uczuciowe i pojęciowe dopełnienie w staruszce z nad Buga, tylko pod względem psycho-estetyki ta ostatnia przedstawia się znacznie gorzej. Wychodzi z za sceny, z jakiegoś ciemnego niewidzialnego kąta, tylko w momentach przełomowych, głównie wśród maksymalnie podnieconego nastroju i zgorączkowanej wyobraźni lub wobec przygniatającej grozy klęsk elementarnych. Wystąpienia jej mają charakter sporadyczny, mało realny, prawie zawsze gubią się w rozwiewnych bezcielesnych kształtach. Jej bezprzykładne miłosierdzie, nawskróś idealna nieziemska miłość dla ludzi, pełna asceza osobista, robią wrażenie czegoś wyzwolonego z materialności, co można poczytywać raczej za symbol mistyczny, niż za cechy działalności żyjącej

kobiety, która rusza się, czuje i myśli na podstawie norm ogólnych. Wrażenie to potęguje jeszcze pewien specjalny urok, jaki spływa na nią z przyrodzonego daru wieszczby poetyckiej. W pieśniach „Świętej z nad Buga“, jak ją zwano powszechnie, dźwięczy jakaś dziwna, dawno zapomniana nuta prapoezji, pokutujące kędyś w piersiach wieśniaczego tłumu echo wiecu wolnych kmieci na polanie, legendowych obrzędów w uświęconą noc Kupały. Z tą melodią czasów zamierzchłych idzie w niewytłomaczonej rozmowom współjedności subtelne, przenikliwe i rozległe jasnowiedzenie serca w stosunku do rzeczy dzisiejszych. Wewnętrzna treścią biblijnych hymnów staje się ból współczesnej krzywdy ludzkiej, krzyk serdeczny, co targa trzewia bezdomnych parjasów losu, zawiera we wstrząsającej grozie prostą, lecz burzącą i straszną dla wielu logikę dążeń wyzwoleńczych ku sprawiedliwości społecznej.

Wyszedł ci Chrystus, krzyż słoneczny niesie:
Powstań Łazarzu z śmierci do żywota! —
Nie mogę, Panie, bo jeszcze po lesie
Jagnięta płaczą, a zły wilk się miota.
Jeszcze jest wróbblik niepewny na strzesie,
Jeszcze się krzywda wije wedle płota,
Jeszcze jastrzębi szpon skowronki gniecie,
Jeszcze jest przebój mocnego na świecie! —

W niejakim odosobnieniu i epizodycznym jedynie ujęciu wyprowadza poetka napoleoń-

skiego wiarusa, Prokurata. Postać to skądinąd wcale ciekawa, przenosząca nas w zupełnie inne rejony niż te, które zajmuje sobą Horodziej lub staruszka z nad Buga. Stary żołnierz niepozbowiony jest dużej charakterystycznej rodzajowości i pod wieloma względami przypomina Wojciecha Zapałę z nowelistyki. W „Panu Balcerze“ jednak ta figurka, wzięta jakby żywcem nie z chwili współczesnej, lecz z poźółkowych kartek znanego lub nieznanego pamiętnika, jest zupełnie nie na miejscu.

Mniejsza już o to, że w wojnach napoleońskich brała udział przeważnie szlachta, bo przecie wiadomo, że od tej reguły zdarzały się liczne wyjątki, a jegomość Prokurat mógł właśnie do takich należeć. Ważniejszym zato i trudnym do obrony punktem jest ważny niekiedy sprawdzian życiowego prawdopodobieństwa, mianowicie, brzydka, sucha, ogólnie nie lubiana chronologia. Czas, w którym się odbywa akcja w „Panu Balcerze“ nie jest ściśle określony, ale istnieją poważne dane, szczególnie na zasadzie ostatecznej i ostatecznej redakcji całości, wedle których przypuszczać wolno najzupełniej prawomocnie, że mamy tu do czynienia z pierwszymi latami XX wieku.

Jeśli zaś sędziwy weteran walczył pod znakiem małego kaprała, to w chwili wyruszenia za morze ma ni mniej ni więcej, tylko lat sto z dobrym okładem. Rzecz zrozumiała, że zamor-

skie peregrynacje tak szacownego archeologicznego zabytku stanowić muszą nielada orzech do zgryzienia w każdym poemacie, tymwięcej w takim, który ma uzasadnioną z innej strony pretensję do liczenia się z żądaniami realizmu i możliwości. Po zgłoszeniu tego zastrzeżenia zasadniczego, sprawiedliwość każe przyznać, że jeśli zamknąć umyślnie oczy na czas i miejsce, to marsowe oblicze napoleonisty zyskuje na tym wiele. Zasuszone starcza twarz ożywia się, zaczyna pulsować krew istotnego odrębnego życia. Co chwila wychodzi z ukrycia tajna sprężyna wszelkiej jego myśli i uczucia — niezmiernie żywotne i świeże wspomnienie przebytych bojów, gorąca cześć i miłość wielbionego cesarza. Zwiędłe usta powtarzają ciągle jego imię, dłoń pieści się jak z relikwią najświętszą z krzyżem żelaznym za męstwo, serce całe wypełnia niezłomna żarliwa wiara w nieśmiertelność Napoljona w jego żywą dziś jeszcze współobecność na ziemi.

Słysz? Myślisz — morze? To trąby tak grają
Walącym pułkom na dobrą ochotę...
Patrz? Myślisz — słońce? To orły wiewają
W chorągwiach, całe srebrzyste i złote...
Czuj! Myślisz — piorun? To z harmat znak dają,
Że cesarz wdziewa swą szarą kapotę...
Vive Napoleon!... Na ramię broń, wiara!
— Gwardya!... Gdzie gwardya moja wierna, stara?...

Nie dość na tem. Wiemy wszyscy, że czar potężny, jaki wywierał na swoich podkomendnych bohaterski korsykanin, dokonywał rzeczy nie do wiary; w zamglonych agonją oczach zapalały się blaski ogniste, stygnące wargi składały się do uśmiechu lub tryumfalnego okrzyku na cześć wodza. Konopnicka nie zapomniała i o tym momencie przedśmiertnym. Gdy wybuchła zaraza w emigranckim baraku i przyszła kolej zgonu na białego wojaka, w minucie ostatniej w myśli jego odżyła przeszłość. Przedzgonnym drgnięciem odruchowej woli porwał się z łoża i stanął na równe nogi, z imieniem Bonapartego, z okrzykiem, że cesarz go woła.

Jak zaznaczyłem, Prokurat występuje na widownię przelotnie; na dłuższą ocenę zasługiwał przedewszystkiem dlatego, że go wcale w danym utworze być nie powinno. Wślad za tym zapóźnionym maruderem z przed okrągłego stulecia idą inne postacie, od ręki na ekran rzucone, zawsze jednak zaznaczające się, biorąc ogólnie, prawdziwą niesztukowaną prawdą fizjognomistyki i różnaitością umiejętnie podretuszowanych odcieni.

Wiele z nich można metodycznie powiązać w pary, używając jako łącznika bądź kontrastu, bądź kombinacji, uzupełniających się wzajemnie podobieństw.

Więc przedewszystkiem jaskrawo odbijają od siebie nadludzko wytrzymały Sekura i kruchy

jak glina Przytuła. Pierwszy, to natura silna namiętna, ale zwarta w sobie, panuje zwycięzko nad swymi zewnętrznymi objawami, gwałtownym porywem rozpacz, szalu lub zniechęcenia. Ma on też specyficzną chłopską „kwardość“, której nic nie zmoże. Grasująca wśród wygnañców złośliwa febra powala go wprawdzie na łoże boleści i gorzej jeszcze, bo odejmuje mowę, ale przecie w ostatecznym wyniku nie dał jej pola, podniósł się z choroby, zmieniony na widmo milczące, przerażający w swej niemocie, lecz nieugięty. Z dziką zaciętością idzie karczować dziewiczy nieustępliwy bór, gdzie drzewa poderżnięte u pnia ani myślą padać, drwiąc sobie z wysiłków człowieka. A w tej surowej żelaznej duszy kryły się lawiny rozgorzałych namiętności; głuchy gardłowy szloch dobywa się z krtani przy spotkaniu fury siana, przywodzącego na pamięć swojską kośbę; radość z przyorania jednej skiby zwyczajnym chłopskim pługiem wystarcza, by wrócić mu mowę.

Djametralnym przeciwieństwem woli kamiennej, co nie folguje nigdy, jest „Sambój“ — Przytuła, z gruntu poczciwy, ale ograniczony i słaby, niby badył wyschnięty. Nie posiada on żadnych prawie danych do borykania się z przeciwnościami; zapala się łatwo, ale prędzej jeszcze gaśnie; w pierwszym impeccie przybiera groźną postawę, z której jednak zgoła nie trudno przyprowadzić go znowu do równo-

wagi. Podlega on wszelkim wpływom, na okręcie zgrywa się do nitki w karty; podczas leśnego karczunku nie może sobie dać rady z nostalgia, płacząc prosi Pana Balcera o zamówienie mszy za grzeszną jego duszę, poczem wiesz się na drzewie poblizkim, zadając, coprawda pośredni i czysto jednostkowy, kłam przysłowiowej wytrwałości polskiego chłopa.

Podobnie, jak wyżej, ustosunkowaną względem siebie parę, tworzy eksplozywny Zatrata, który zazwyczaj wpierw robi, a potem myśli, z nieruchomym flegmatykiem Łuciem Ostańczukiem.

Zatrata ma w żyłach krew nie wodę, nie umie zapanować nad własną wybuchowością, zależy całkowicie od przemijającego nastroju. Nic nie umie czynić przez pół, wszystko robi z całym oddaniem się, tylko ten jego zapal niewątpliwie szczerzy trwa bardzo krótko. Od posępnej troski o przyszłość i gorzkich frasobliwych biadań, potrafi Zatrata przejść w oka mgnieniu do krańcowego optymizmu; na pierwszy dźwięk muzyki puścić się w skoczne tany, jak za najlepszych czasów. Do bitki skory jest ogromnie, nie jemu taką rzecz powtarzać dwa razy; w bójce zawsze na przedzie, wali wokół siebie co napotka, ani się za niczem nie obejrzy. Do gromady odnosi się ten chłop, do tańca i do różańca, z gorącym wylaniem; dałby się w danym razie za nią posiekać, a tymczasem

robi tylko kłopot i zamieszanie niedojrzałymi pomysłami w guście raptownego poszukiwania osady krakowskiej. Krewki rebeljant często jednak przydaje się swoim, tam mianowicie, gdzie trzeba mocnej, wypróbowanej pięści i, rzecz z pozoru dziwna, uczynienia czegoś na pierwszy głos serca — przygoda z Jantkiem z Radzyna.

Z dużym efektem malarskim odcina od tego przepysznego, w siarczystym temperamencie, niby w ukropie, kapanego zawadjaki, wspomniany już, milczący, Bogu ducha winny Polesiak, Ostańczuk.

Nad wyraz przywiązany do wiejskich prowincjonalnych obyczajów, stara się wszędzie tak urządzić, aby mu wszystko przypominało zapadły kąć poleski. Chodzi w łapciach plecionych z łyka, buduje sobie kurną chatę, z całą systematycznością i powagą dąży do jaknajwszechstronniejszego zachowania dawnych swoich obyczajów. Z natury potulny i łagodny, odznacza się wytrwałością i pamięcią. Mrukliwy, zamknięty w sobie na cztery spusty, nie pragnie wcale ludzi i obywa się bez nich doskonale. W razie konieczności porozumienia się z nimi w jakiegokolwiek sprawie, czyni to Ostańczuk z możliwym lakonizmem. Niezwykły, niczem niezamącony spokój i flegma przybierają takie romiary, że robią wrażenie pewnej martwoty fizycznej, zacierając różnice pomiędzy człowiekiem żywym a umarłym, — przykładem może służyć zajście

Łucia z Panem Balcerem, który go bierze za nieżywego. W tej samej proporcji idzie następna para, znaczona kilku ogólnymi rzutami; zuchowaty Szaława, tęgi chłop, „ociętny w gębie“, szybki w decyzji, znieść nie mogący żadnej zwłoki, niedołęstwa czy ucisku; naprzeciw niego, powolny, zrezygnowany na wszystko Maciek Tatar, bardzo umiejętnie i prawdziwie zarysowany przedstawiciel chłopskiego upartego namysłu, „co rzadko gada, a zawsze w potrzebie“. Ma on swoją specyficzną teorię bierności wobec zrządeń losu, którą Szaława najniesłuszniej w świecie odsyła do książek. Filozofja ta nie rekrutuje się bynajmniej z liczby wytworów uczonej djalektyki, czuć w niej wyraźnie ponure, fatalistyczne, bezpośrednie poczucie bezsilności w stosunku do tych, czy innych faktów spełnionych lub mających się spełnić; poczucie, zaczerpnięte nie z oderwanej argumentacji, a z długiego i gorzkiego doświadczenia nędzy i niewoli.

Czekać, to czekać! A cóż ty człowieku,
Inszego robisz od rodu na świecie?
Z małości — czekasz lat swoich i wieku,
O którym nie wiesz, czy dojdzie ci w kwiecie,
Zaś czekasz, ćwieka wbijając po ćwieku
W ostatni dom twój, czy rychło cię zmiecie
Śmierć pierworodna. A noc, i zaranie,
I żywot cały — co?... Na grób czekanie!

Inną zupełnie kategorię wzajemnego połączenia, opartą już nie na przeciwstawieniu, a na

podobieństwie, stanowi, choćby taki Dudek i Szcześniak. W... zasadniczych konturach psychologicznych są oni do siebie podobni; obaj uwydatniają czułą, trochę sentymentalną, szczególnie u Dudka, uczuciowość, brak energii wykonawczej, a cóż dopiero inicjatywy, bezapelacyjne poddanie się supremacji kobiety-żony. Zauważył ktoś, że taka uległość żonie w danym zastosowaniu jest nienaturalną i nie odpowiada prawdzie rzeczywistej. Zarzut z gruntu niesłuszny i nie obroni go żadne powoływanie się na ową sławną Józefową z noweli pod tymże tytułem, co pragnie mieć męża jak należy, „któryby ją obił od czasu do czasu, zwyczajnie, jak Pan Bóg w małżeństwie przykazał“. Przykład w rzeczy samej, zawiera dość znaczną analogję, ale odstawia jedną tylko stronę medalu. Chłop istotnie uważa za kwestję niepodlegającą dyskusji, że ma święte, boskie i ludzkie prawo stłuc swoją babę na kwaśne jabłko; to jednak nie przeszkadza temu, że słucha jej święcie we wszystkim i bez zgody „jego kobity“ nietylko nie kupi chałupy ani krowy, lecz nawet butów lub czapki¹⁾.

¹⁾ Z twierdzeniem powyższym zgodzi się każdy, kto miał sposobność zetknąć się z życiem chłopskim, jeśli zaś chodzi o dowód t. zw. autorytetywny, weźmy chociażby starego Borynę z „Chłopów“ Reymonta, który przywykł tak słuchać żony, że po jej śmierci, debatując nad wyborem drugiej towarzyszkii, machinalnie zwraca się tam, gdzie sypiała zmarła żona, z zapytaniem: „Maryś, ożenić się z nią, czy nie ożenić“.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje również, zapożyczona może z „Pana Tadeusza“, hultajska dwójka, Magier i Żdzarski. Przysięgli procesowicze i pieniacze, ciągle drą z sobą koty o jakieś zadawnione pretensje sądowo-prawne, odwołują się do niewiadomo gdzie istniejących, przez kogo i kiedy zaprzepaszczonych dokumentów, które dla obydwu stanowić mają corpus delicti odwetu i zemsty. Mimo jednak, a może właśnie dla tej wrzaskliwej kłótni po próżnicy, obaj imoście szlachcice pasują do siebie, jak dwie krople wody; rozstają się ze sobą wtedy jedynie, gdy jeden z nich siedzi w kozie. Zaściankowy, kapitalny, jako zdjęcie z natury, arystokratyzm Magiera, przy każdej sposobności wykładającego głupim chamom, jakie znaczenie i wysoką cenę posiada jego klejnot herbowy, uwypukla się wyraziście dopiero na tle sztywnej powagi Żdzarskiego, jego krogulczego nosa, siwych zawieszistych wąsów i płaszcza z peleryną.

Żyłka pieniacza i nałóg procesowania się, to pasja panująca wszechwładnie wśród ludzi tej sfery; namiętność owa absorbuje prawie całkowicie energję, myśli, uczucie; niewielką pozostałą resztkę zużywa małostkowa, śmieszna pycha rodowa. W pomyśle i wykonaniu obadwaj panowie bracia są znakomici w każdym calu, z wyjątkiem pewnej dość podrzędnej okoliczności, która nasuwa małe zastrzeżenie odnośnie Żdzarskiego.

Łatwo można zrozumieć, czemu Magier nie chce iść do emigranckich baraków, w chwili wyruszenia w pochód znika przezornie z oczu, wybierając, z dwojga złego, pozostanie w obcym mieście, gdzie ma niepłonną nadzieję znaleźć bielszy, smaczniejszy kawałek chleba i co najważniejsza, czuje się w swoim żywiole... w pobliżu sądu. Zupełnie co innego Żdźarski. Ten ma przecież syna i choć nigdy nie okazywał mu zbytnej pieczołowitości ojcowskiej, to jednak takie lekkomyślne, pozbawione wszelkich skrupułów, pozostawienie chłopca na boskiej opiece, bez najmniejszej troski, co się z nim stanie, jest, bądź co bądź, dziwne, psychologicznie nieumotywowane.

Ogromnie mało zwracano dotychczas uwagi na dwie, różne od siebie, bardzo ciekawe postaci, księdza Błahotę i włóczęgę Zabudę. Młody ksiądz, od którego aż bucha żar potężnego uczucia, wszechogarniającej miłości ziemi ojczystej i nieszczęsnego ludu, przypomina żywo najlepsze, niestety, krótkotrwałe tradycje, gdy duchowieństwo polskie dało się porwać wzbierającej fali i poszło z monstrencją w rękę w szeregach ruchu ogólnego. Co go rzuciło na obczyznę, nie wiemy. Może był tu czynny bezlitosny wyrok losu, sztydzący sobie z oporu i przeciwdziałania, może kryła się tam lwia część jakiejś winy osobistej, nieznannej bliżej? Na to ostatnie zdawałaby się wskazywać jego płomien-

na spowiedź osobista, wyznana przed ludem ze stopni ołtarza. Choć, kto wie, czy tym grmiącym, rozgorzałym od wewnętrznego ognia słowom nie należy przypisać charakteru ogólnego *aktu samooskarżenia wychodźców*, bolesnego rozrachunku sumienia z niespełnionych obowiązków, tyczącego w pierwszym rzędzie *inteligencji polskiej*, którą ksiądz ten w pewnej mierze reprezentuje.

O ziemio polska, spowiadam się tobie!
O wiosko moja! O szmacie ty ziemi
Ojczyste, który tam płaczesz w żalobie
Niezaoranych pól... chaty pustymi...
Ugorem życia i czarnym odlogiem...

.....

Nie miłowałem, jakom miał miłować,
Alem cię sprzedał, jak Judasz, za myto...
Nie bojowałem, jakom miał bojować,
Za ciebie, coś jest na krzyżu przybitą...
Nie zachowałem, co miałem zachować...
Zdradziłem chatę, lipami nakrytą,
Która chowała mnie, jak matka syna, —
Zdradziłem!... Moja wina!... Moja wina!...

Kazania księdza Błahoty, ujęte w formę aż nazbyt popularną, miejscami rażąco rubaszne, pełne są treści zupełnie niewspółmiernej z szatą zewnętrzną. Zalatuje z nich stary, tak dobrze znany w Polsce dźwięk, obłędne, fascynujące echo doktryny Towjańskiego, zapomniane już hasło mesjanistycznej ideologii narodowej.

Ale to nic jest! Wszak stoi w kołędzie,
Że Polska w światłach betleemskich stanie
Nad narodami." Że z niej to się wszędzie
Rozniesie ono wiosenne śpiewanie
Wolności świata. Że wyjdzie orędzie
I nowy zakon narodom się stanie,
Przez moc, co nie jest francuska, ni włoska,
Ani angielska, ale jest moc boska!

W podobny ton uderza już Pan Balcer, filozofując z rozbrajającą łatwowierną naiwnością i prostotą na temat domniemanej wyższości Polski w porównaniu z innymi narodami. Teraz, zmartwychwstałe hasło romantyzmu rozbrzmiewa już wyraźnie, sens zasadniczych postulatów idealnej wiary mistycznej jest zrozumiały dla każdego. Błędem nie do darowania byłoby poczytywanie marzycielskiego credo młodego kapłana za symbol wagi szczególnej, za odpowiednik przekonań lub uczuć Konopnickiej. Takie stanowisko nie dałoby się utrzymać ani na chwilę wobec znanych nam już zapatrywań religijnych i społeczno narodowych autorki cyklu „Z mojej Biblii“. Ksiądz Błahota nie jest wprawdzie, jak chce jeden zakrystjan, przepraszam, krytyk literacki „plus catolique que le pape“, śmieszną figurą księdza z XVIII wieku, w której „ani krzty niema kapłańskiego dostojeństwa, dużo natomiast błagi i błazeństwa“, ale też pod żadnym względem, czy to idei, czy staranności wykonania estetycznego, nie wysuwa się na miejsce naczelne. Trudno orzec, o ile jest on kopją z rze-

czywistości, lecz jeśli by nawet stworzyła go w całości wyobraźnia poetki, to w każdym razie udało jej się w tym wypadku utrzymać w granicach realistycznych. Najwięcej danych ma za sobą proste przypuszczenie, że gorący złotousty kaznodzieja, wprowadzony został, jako barwa dopełniająca obrazu, trochę może (nieliteracka) reminiscencja ze stosunków dawnej emigracji polskiej; specjalnego znaczenia nabiera on tylko w momencie modlitewnego szeptu „Moja wina!... Moja wina!...“

Kim jest Zabuda, próżno pytać. Cudzoziemiec zobaczy w nim zwykłego wykolejeńca, który skutkiem tych lub innych okoliczności zmarnował własną egzystencję, nie umiał utrzymać się na równi pochyłej, z rozpaczy zapił się z kretelem, jeszcze chwila byłby runął w przepaść bezpowrotnego upadku, gdyby nie ostatni błysk ocalałej z rozbicia iskry *czynnego* samopoświęcenia. Dla polaka, kwestja nie rozwiąże się tak łatwo, prostą formułą codziennej tragedji. Jeśli tylko ma on serce i umie w nie patrzeć, napewno nie przejdzie nad tym człowiekiem do porządku dziennego z gestem filozoficznej wyższości lub litosnym obojętnym i pustym frazesem wytartego morału. Zabuda będzie dla niego wstrząsającą do głębi przerośniętą figuryczną, ogólnym przedstawicielem mnóstwa przeklętych, ściganych przez fatum dziejowe rozbitków polskiej zdruzgotanej łodzi. Prosty kowal wiejski,

Pan Balcer, po wysłuchaniu chaotycznych, gorączkowych i w półprzytomnych zwierzeń obcego przybysza, nie pytał więcej. Jego otwartą prostaczą, nieprzywykłą do uczonej psychoanalizy duszę, porwała odrazu przeraźliwa, zapiekła w bólu wewnętrznym męka polskiego straceńca, co nie wie, skąd idzie, poco i w jakiej sprawie; nie pytał więcej, poco, wiedział wszystko. Zabuda tymczasem, urwanymi szarpanymi słowy, gardłowym dźwiękiem ściśniętej krtani, opowiadał mu rzeczy zwykłe, rzeczy straszne. Mówił, że zna jedno pewne lekarstwo, zagłuszające na chwilę ból żrący serce ludzkie, — gorzałkę; mówił, że sam sobie nie śmie się przyznać, iż jest polakiem, chyba gdy na dzień jeden zdoła powstrzymać się od nałogu, przewlecze czystą koszulę... Nawet nazwisko, Zabuda, wedle własnej interpretacji nieszczęśnika, w sam raz pasuje do jego doli okrutnej; oznacza „bezojczyźnianego“ parjasa, wyrzuconego za nawias społeczeństwa i ojczyzny, „co sam jest niczyj i nikt nie jest jego“. O przeszłości swej mówi Zabuda ogólnie tylko, ale to wystarcza. Nędzy jego na imię — *nieszczęście polskiego tułactwa*, krwawa ropiąca się rana, zatruta atmosfera ucisku, bez przerwy i miary, ponury dramat nie sceny, lecz życia, załamany w trudzie prac syzyfowych w okropnym eurytmicznym tańcu niewolnika.

Stuchaj waść! Może ujrysz gdzie zdaleka
Włóczęgę, co tam kiedyś w dniach młodości

Tak samo jak wy miał serce człowieka,
A teraz wszystkim obcy, psu zazdrości.

.....
A jeśli młodość jemu poszła krzywo,
Marnie — że tylko na tę żerdź u płota...
Jeśli pod gwiazdą wzrósłszy nieszczęśliwą,
Porwał się rozbić ją zamachem młota.

.....
A potem zniknie ci przez długie lata...
Aż kiedyś ujrysz go w innej postaci
Gdzieś pod Uralem...

.....
A gdybyś, wasze, spotkał znów człowieka...
Nie! Gdybyś spotkał zwierza w ciemnym lesie
Jako się kryje, czai, jak ucieka,
Jak go zakrywa sobą wielka rzeka,
Jak go pień cedru na ocean niesie,
Na ląd, i jak go odtąd truje nuda
Z gorzałką razem, to będzie Zabuda.
Ha... ha... ha... Zabu! Zapomniał!

Ale ten szatański potępieńczy śmiech, ostateczne szyderstwo z samego siebie, nie jest finalnym słowem Bezimiennego. Oto przychodzi na miasto cała godzina grozy i trwogi; wicher morski dmie z niebywałą siłą i pędzi z niepowstrzymaną fatalną mocą ku ludnemu i bogatemu portowi okręt moru, Imakulata. Wszystkie środki ratunku wyczerpane, wysiłki, aby odepchnąć od brzegu zabójczego posłannika śmiertelnej zarazy, daremne. Stracili głowy wszyscy. W takiej chwili zjawia się nad brzegiem morza błądy wynędzniały człowiek, o surowym zdecydowanym wyrazie twarzy i gorączkowym ogniu

w bezdennie smutnych oczach. Błyskawicznie zorientował się w sytuacji, postanowił umrzeć za wszystkich, dokonać szalonego czynu wysadzenia okrętu w powietrze za pomocą prochu. Zaczyna się scena jedyna w poemacie, scena wielkiego czynu indywidualnego, czynu wścieklej polskiej odwagi i przepastnego samopoświęcenia, co ongi przed wiekiem szarżowało Samo-Sierę i przez stulecie całe znaczy czoło każdego pokolenia stygmatem walki. Już przyniesiono proch. Porwał się bohater-nędzarz, wskoczył do łodzi i płynie w kierunku okrętu; płynie, stojąc na przedzie z podniesioną głową, „wyprostowany cały i gromowy“, z okrzykiem „Niech żyje Polska!“ Chwila jeszcze, błysk i huk piorunu—skończone.

Zabuda był dotychczas prawie pomijany przez tych krytyków i recenzentów, co pisali o ostatnim dziele poetki uciśnionych i wydziedziczonych. Dlaczego, nie umiem powiedzieć. Może z obawy przed zbyt wysokim napięciem wypieszczonych cieplarnianych nerwów? Nie wiem również, wielu Zabudów było na brazylijskiej ziemi, ale zjrzyjcie, przelotnie choćby tylko, do drugorzędnej kawiarni paryskiej w nocnej godzinie, spójrzcie na rojne, szumiące jak morze bulwary, przejdźcie się po ulicach Londynu, po alejach rzymskiego miasta, czy ja wiem, gdzie jeszcze — wszędzie po planecie, tam was napewno spotkają obłąkane z bólu oczy, skulona

nędzna postać wygnańca na dnie upadku, co *mógł zostać bohaterem.*

Prócz wyżej wymienionych, z tej czy innej przyczyny ciekawszych postaci, w skład personelu męskiego wchodzi jeszcze szereg kreacji t. zw. drugoplanowych, niepozabawionych jednakże własnego oblicza. Wszystkich, oczywiście, wymieniać niema potrzeby, wystarczą wybitniejsi. Weźmy pierwszego z brzegu, który zaleca się wyrazistością jaskrawych cech. Ciemny, ograniczony Kos, fanatyk bezdusznych formułek religijnych, a równocześnie niecierpliwy warchoł, żądny każdej nowości bez względu na jej wartość. Dalej idzie Lis z głęboko zakorzenioną, instynktową nieufnością do dworu, szlachty i wogóle sfer t. zw. wyższych; Bugaj zapalny, jak słoma, Bandys, chłop setny, dobry na zimno i na gorąco, Łuka — dyplomata i Świerszcz, do-wcipniś parafjalny. Skończyć litanję można: Czopem, braciszkiem klasztornym, z jego zdawkowym odpustowo-jarmarcznym liberalizmem, starym dziwakiem, co służy za stróża w barakach emigranckich i kilka razy na dzień przebiera się w polską odzież, ale nosić jej nie chce, bo toby była profanacja, wreszcie Skwarą Burniakiem, reprezentantem chłopskiego utylitaryzmu i biednym Fijałą, któremu z wielkiej tęskności coś się tam miesza czasami we zmysłach.

Kobiet wprowadza Konopnicka stosunkowo niewiele. Żadna z nich nie stanowi wszech-

stronnie pojętego typu, ogranicza się tylko do skupienia w sobie odnośnych pojedynczych właściwości.

Na czoło kadrów niewieścich wysuwają się dwa żywe wcielenia różnych przejawów instynktu macierzyńskiego, Hanka Szczęśniakowa i Marychna Dudkowa. Hanka działa, a raczej zwraca na siebie uwagę, w jednej, że tak powiem, odsłonie, dość rozwlekłej i nierówno zbudowanej. Wzruszający istotną plastyką wyrazu moment ofiarnej miłości matczynej, która nie cofa się przed niczem, aby ukryć śmierć dziecka i przedłużyć złudzenie, że ono żyje, nadaje jej dużą siłę przyciągającą. Tragiczna śmierć w wzebranych nurtach morskich, co pniąc się i hucząc, pożarty, w oka mgnieniu, ciało Jasienka, jedy-naka, potęguje urok, zapisując się zgłoskami trwałej pamięci w sercach ludzkich. Wytknąć tu jednak trzeba zbyt długie rozciągnięcie jednego akordu psychicznego, jak również i to, że końcowy wybuch uczucia jest trochę niespodziewany i bodaj sprzeczny z pewnym poprzednim melodramatyzmem.

Bez porównania wyższy stopień dostojęstwa kobiety-matki osiąga, utrzymana w tonie mocnym i psychologicznie prawdziwym, serdeczna, łagodna, w potrzebie gorąca i stanowcza Marychna Dudkowa. W położeniu groźnym, przełomowym, gdy decydowały się losy wszystkich, potęgą instynktu macierzyńskiego daje jej

jasnowidzenie i energię czynu; zapala w oku taki płomień, że wąta, słaba, ledwo zdolna utrzymać się na nogach kobieta obejmuje dowództwo, elektryzuje na nowo współmłodych ludzi, porywa ich za sobą, każe iść dalej i dalej w długą trudną drogę do chaty rodzinnej, do Polski. Epizod ten nie jest jakimś niespodziewanym stanem podniecenia; przygotowawcze momenty można łatwo zaobserwować już przed tem. W piersiach Marychny gorzało zawsze stałe ogniste zarzewie, świeże i bezpośrednie pragnienie powrotu do stron rodzinnych, wyładowywujące się w postaci czynnej przez rzucenie w serca gromady pierwszej myśli o konieczności wędrówki powrotnej. Prócz tego symbolu macierzyństwa, rozszczepionego na dopełniające się odcienie, spotykamy dwa realistyczne, nie bez komizmu zarysowane, wizerunki kobiece. Bugajowa, zawołana gospodyni, która podnosi głośny lament na wspomnienie różnych dawno minionych przejść gospodarsko-kurnikowych, np. przy żałośliwej opowieści o sprzedanej ongi krowie, Kwiatosze, i kumoszka wiejska, Błazejowa, zawzięcie bez wytchnienia plotkująca, co tak miele językiem każdą nowinę, jakby była wiatrakiem na zboże w czas silnej wichury.

W końcu mimochodem od niechcenia prawie znachodzi się w poemacie parę bladych, pozbawionych własnego rumieńca, dziewcząt w osobie zalotnicy Zośki, ze świdrującymi ocz-

kami, czarnobrewej, niewinnej jak młoda sarenka Jelonki Żukówny i ledwo rozkwitłego pączka, dziewczątka Bugajów, Salusi.

Reasumując spostrzeżenia nasuwające się przy uważniejszym przypatrzeniu się nagromadzonemu w „Panu Balcerze“ jednostkowemu materiałowi ludzkemu, nie widzę żadnej racji powtórnego podkreślenia tych ogólnych uwag, które poczyniłem a priori i starałem się potem stwierdzić za pośrednictwem szczegółowej psychoanalizy. W tym miejscu ograniczę się tylko dalszym ciągiem poprzedniej syntezy, akcentując raz jeszcze to jeno, co było zaznaczone zbyt słabo.

Wspomniałem już wyżej, że ludzie działający w „Panu Balcerze“ mimo braku dynamiki osobistej i pewnej wyraźnej tendencji teleologicznej w przedstawieniu ich przedewszystkiem jako czynniki, tworzące psychikę zbiorową, a potem dopiero indywidualności ciekawe same dla siebie, posiadają różnorodne swoiste życie wewnętrzne, nadające każdemu z nich, jemu tylko właściwe piętno. Obecnie pora z punktu a posteriori zawadzić, choć przelotnie, o kwestję oryginalności literacko-twórczej tych rozlicznych indywidualnych typów lub, jeśli kto woli, utypowionych indywidualności.

Naturalnie, że nie będę tu uprawiał zmudnych, jałowych i śmiertelnie nudnych łamańców dialektyczno-porównawczych, bo to wkracza

w dziedzinę sui generis sportu i wymaga specjalnego amatorstwa, myślę zatem, że bez szkody dla państwa i kościoła, nauki i cierpliwego czytelnika, wolno mi ograniczyć się do kwestji w tym razie najbardziej istotnej, mianowicie stosunku do Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“.

Podobieństwa, jakie można wysledzić między dwoma utworami, są znaczne, ale dotyczą przeważnie epizodów sytuacyjnych, np. zwada Przytuły z Łyczkiem, często gęsto krzesanych skier rzetelnego humoru i komizmu, wpływającego wprost z akcji i charakterystycznych, miejscami iście przedpotopowych wyobrażeń chłopskich, wreszcie w licznych baśniach i sentencjach moralnych, wplecionych umiejętnie w tok ogólny. Na upartego wolno dopatrywać się jeszcze zależności artystycznej w gwałtownych bitkach, namiętnych sporach słownych, kipiących warem niewyładowanej energii żywotnej, ratujących, mówiąc nawiasem, poważnie w wielu wypadkach zagrożoną sytuację estetyczną, skazaną z góry na bardzo szczupłe rozmiary akcji właściwej. Tutaj także zaliczyłby należało sposób chóralnego wyrażania przez tłum swego placet odnośnie stanowiska zajętego przez przywódcę i wiele jeszcze szczegółów drobniejszych, rozrzuconych wszędzie. Natomiast co się tyczy samych poszczególnych osobników, to poza Magierem i Żdzarskim, którzy istotnie przypominają Rejenta i Asesora, Pietrem Zagajnym, Pro-

kuratem lub inną jeszcze figurą bez poważniejszego znaczenia, nie dostrzegam u nikogo wyraźniejszych cech, wskazujących pożyczkę lub plagiat. Przeciwnie, cokolwiekby się mówiło o nadto podmiotowym ujęciu niektórych kreacji i innych poważnych niedociągnięciach esseiczych, to zarówno całość kształtu obrazu, jak i olbrzymia większość jego barw składowych ma swoje źródło nie w literaturze, lecz w bezpośredniej czujnej obserwacji życia polskiego ludu, w wiernej, mówiąc ogólnie, i niezwykle bogatej psychografii lokalnych i osobistych odmian charakteru chłopskiego, przeniesionych żywcem z pola, stodoły, chatupy i kuźni na białe karty rozetkanej a hartowanej pieśni; w błyskawiczny ruch przeobrażeń wewnętrznych i zmienionych warunków z zewnątrz.

Stosunek artystyczny ogólny, łączący poetkę z obiektami jej twórczego natchnienia, posiada również wyraźne znamię dość daleko idącej samoistnej koncepcji uczuciowej, która przełamuje co krok ramy epiki. Dla usprawiedliwienia swej racji estetycznej, używa nader szczególnie w zastosowaniu manewru, a raczej metody, wypowiedania się ogólnego i szczegółowego przez usta zwyczajnego prostaka, majstra kówalskiego, pozostającego w naturalnym ścisłym związku ze współtowarzyszami niedoli, jako krew ich krwi i kość ich kości.

Nie dziw, że wytworzona w tych warunkach

atmosfera sprawia wrażenie bezpośredniości ujęcia i dużej swobody w odtwarzaniu przejawów życiowych na gorąco, tak, jak się one w istocie dzieją. Ludzie w „Panu Balcerze“ poruszają się, myślą i czują zwyczajnie, jak śmiertelnicy, ulegają powszechnym prawom zdrowych organizmów zwierzęcych. Może najwyżej w kierowniczym motywie swych działań są oni zamało zróżniczkowani, zbyt, w gruncie rzeczy, dobrzy i prawi. Jeśli nawet który z nich nie sięga wysokiego poziomu, to wszelkie ostre wystające kanty zgruba ciosanej natury, zbrutalizowanej przez ślepe wpływy¹⁾, szybko tracą swą pierwotną twardość i neutralizują się w jednokierunkowej nastrojowo idealizacji.

W parze z powyższymi walorami wewnętrznymi, które w sumie przedstawiają rzetelny dorobek estetyczny, idzie konieczny czynnik pomocniczy, świetna forma zewnętrznego wyrazu, o tysiącnych odcieniach, użytych zawsze w czasie właściwym. Dość porównać, dla przykładu, sposób mowy Horodzieja i Balcera, Zatrąty i Łucia Ostańcuka, pierwszego z brzegu chłopca i Opacza; każdy z nich ma swoje narzecze, ulubione przysłowiowe wyrażenia, własny styl,

¹⁾ Niema np. prawie wcale scen malujących żywiołową siłę pożądań zmysłowych, które w tej sferze mają takie proste, a silne, pierwotne, a naturalne formy i przejawy.

własne powiązanie myśli. Mozajkowa różnolitość nigdy nie przechodzi w chaos, w bezładną krzykliwą i niesmaczną estetycznie mieszaninę dialektów; nawet rubaszna, najeżona pośledniego gatunku rusycyzmami, gwara eks marynarza Opa-cza, nie psuje wrażeniowej harmonji.

Z innej strony nasuwają się dwie uwagi krytyczne. Niewiadomo z jakich powodów, ale świat kobiecy potraktowała Konopnicka w najwyższym stopniu niewspółmiernie i po macoszemu. Typ żeński wbrew już nietylko społeczno-politycznemu, ale psychologicznemu uprawnieniu, został ilościowo i jakościowo stanowczo pokrzywdzony. Grał on rolę dodatkowego decorum jedynie, trochę uwagi poświęcono macierzyństwu, wprowadzając dla równowagi kilka trafnie uchwyconych, ale jednostronnych figur komicznych; jedno nieziemskie bezcielesne widmo kapłanki-pieśniarki. Brak w tej galerji kobiety żywej w całym tego słowa znaczeniu, reprezentującej duszę kobiecą, choćby w tym zakresie, w jakim Pan Balcer ucieleśnia sobą mężczyznę. Tak samo szwankuje zbiorowa psychika żeńska. Narrator poematu, Pan Balcer, załatwia się z nią w paru strofach, zbywając kwestję dość banalnymi ogólnikami o robieniu z igły widły, plotkarstwie, zamiłowaniu do śpiewu, opowiadania bajek i skazek, wreszcie wesołości i swawoli. Szczerze mówiąc, trudno w tym wypadku usprawiedliwić Konopnicką. Takiego zbagatelizowania kobiety

nie wymagała bynajmniej idea naczelna, ani rzeczywistość, błąd popełniony tutaj jest bezsprzecznie jednym z najpoważniejszych i najmniej wytfomaczonych. Trzeba powiedzieć to wyraźnie, pamiętając przytem, że arcydzieło dlatego jest arcydziełem, że ma wielkie wady i zalety i... quandoque bonus dormitat Homerus.

Niedostateczna staranność i zlekceważenie uwidacznia się również w stosunku do młodzieży i dzieci. Dziewczęta, jak mówiłem przedtem, chorują na anemję, oczywiście niekoniecznie fizyczną, i nie mają odrębnego własnego wyrazu; z chłopców występuje jedynie parobczak Stach, zakrojony na marjonetkę Jasiek, Żdźarskiego syn, figurant bez żadnej barwy, w końcu Jantek z Radzyna, papierowa personifikacja opuszczenia i sieroctwa. Przysłowie o Homerze znowu by się przydało...

IV.

LUD POLSKI, JAKO ZBIOROWOŚĆ.

Więc to tam było napatrzeć się czego,
Onych ubiorów i ludzkiej odmiany...
Bo lud się zeszedł het, z kraju całego:
Kurpie, Mazury, Łomżyńce, Płocczany,
Aleć najgęściej z porębu naszego,
Od Liwca, Narwi brunatne sukmany...

Pół Polski wybrało się za morze, tej Polski,
która przedstawia siłę potencjalną, niedającą się
obliczyć, ogromną i groźną w swym sennym
bezwładzie, świeżej i nienapoczętej energji, gro-
madzonej przez wieki w głębokich podkładach
narodowego ducha.

Nie brak nikogo. Zuchowate dzielne Ma-
zury, zawzięte uparte Kurpie i Łomżyńce i Płoc-
czany i Podlasiaki, het nawet Hnat, ukraińiec,
puścił się rodzimego kurhanu na stepie szeroki-
m. Robotnik polski nieobecny, ale jest to

najzupełniej zrozumiałe i uwarunkowane linją
zasadniczego symbolizmu ideowego. Wszak pro-
letariat polski, jako masa, w roku 1905-tym tak,
czy inaczej, źle, czy dobrze, owocnie, czy tylko
ofiarnie, ale brał udział czynny w wypadkach,
z wydatnym poświęceniem i bohaterstwem wy-
sunął się siłą faktu na czoło społeczeństwa.
Więc przedstawiciel jego nie miał co robić
na emigracji, przeciwnie, środowiska emigranc-
kie, jeśli chodzi o inteligencję współpracującą
z proletariatem, opustoszały, kto żyw spieszył
do kraju.

Najwięcej ludu szło z Podlasia, z krainy,
gdzie każda grudka ziemi przesycona jest krwią
męczeńską, niezagasłymi popiołami wiosek i siół,
przeciągłym zduszonym krzykiem gwałtu nad
bezbронnymi; marą i zjawą bohaterów bez na-
zwy, co woleli zaprzeć się w chatach i spłonąć
żywcem, niżli ustąpić.

Twarze surowe, śniade, jakby z głodu
Albo z przedawnej, a skrytej żalości.

Straszną i nieprzeliczoną jest moc krzywdy,
ale trzeba ją wyzwolić na potencję czynną, prze-
prowadzić krystalizację świadomości ogólnej;
śmiałym, choćby najboleśniejszym szarpnięciem
dusznych trzewi przełamać ostatnie zapory mar-
twej ciszy i jednostronnego religijnego męczeń-
stwa. I rozpoczyna się czas bezdomnej tułaczki,
bezświadome poszukiwanie iskry, co przerodzi

duszą polską, uzdolni ją do męskiego czynu, da hart i wolę ze stali, skierowaną ku jednemu celowi. Rozpoczyna się zrazu ukryte, ledwo dostrzegalne, potem potężne wszechogarniające działanie i poczucie „siły niezbytej“.

Pojedyńcze, prawie obce sobie, elementy etnograficzne naszego ludu nietylko są w „Panu Balcerze“ połączone w całość organiczną silnym naturalnym cementem pewnych wspólnych właściwości zalet i przywar; znaczy je wszystkie dziwne, nieuchwytny, pozornie nierealny, stigmat ducha, znak wewnętrznej, wysuwającej się z pod wszelkich określeń polskości, potężnej metafizycznej spójni, co trwa i trwać musi mimo wszelkie różnice klasowe i intelektualne, jakie wyłobitł czas i rozwojowy przebieg bytu.

Zbiorową psychę chłopską, szczególnie z początku, maluje Konopnicka realistycznie, acz pod pewnym kątem patrzenia; potem rozwielmożnia się coraz bardziej optymizm. Wyraźna idealizacja przejawia się w przeprowadzeniu procesu przeobrażeń i końcowym ich wyniku, w zarysowaniu pojedynczych sylwetek ludzkich, pomniejszeniu vel bagatelizacji niektórych objawów życiowych, stanowiących smutną moze, lecz konieczną pozostałość opieki przeszłej, następstwo niskiego poziomu umysłowego i twardej chropowej skorupy zwierzchniej gorącego w istocie serca, skorupy, która ciężarem wiekowego ucisku, okrutnej bezsłonecznej doli białych mu-

rzynów częstokroć tłumi żywy głos bezpośredniego porwy. Zaledwo, na przykład, został znaczone brutalizm codziennych stosunków życiowych pierwotnego człowieka, od którego chłop polski nie jest przecie bynajmniej wolny; ciasny przyziemny egoizm, jako cecha tłumu, występuje raz tylko w pieśni pierwszej, gruby materializm celów i pobudek znika bezwarunkowo zbyt szybko, ani na lekarstwo niema znamiennego i często spotykanego kultu siły fizycznej, niema ani jednej sceny, obrazującej bez rękawiczek i osłonek taką surową, powszednią rzeczywistość stosunków wiejskich, jaką spotykamy, np., w „Biedroniach“ Sewera.

Jakże więc, jest w poemacie realizm istotny i względnie pełny, czy zabiła go tendencja ideologiczna, z góry powzięty nakaz określonej celowości w konstrukcji artystycznej¹⁾ i specjalne warunki obcego egzotycznego tła, na którym rozwinęła się akcja i działali ludzie? Sądzę, że niema dwóch zdań; realizm jest i to nie pośledniej jakości, nie wszędzie jednak w równej mierze zastosowany. Mimo wszystko faktem niezaprzeczone pozostanie, że lud polski jako zbiorowość występuje na kartach tego eposu żywy z ognistą, zdrową krwią w żyłach, plastycznym

1) Oczywiście, idzie mi o celowość, nie mającą nic wspólnego z estetyką i mechanizmem samorzutnym twórczości artystycznej.

istotnym wyrazie swej jaźni i zasobów duchowych, naturalnym, niesfażowanym światłem pojęć i uczuć. Wizerunek chłopca polskiego, ten szczególnie, który widzimy w pierwszych chwilach zamorskiej wyprawy, można śmiało skonfrontować z opisowymi obserwacjami Kolberga; on porównanie to wytrzyma i naogół wyjdzie z niego zwycięsko.

Tożby ich tutaj mógł malarz malować,
Jak jęli marszczyć lby a brwiami ruchać.
Najpierw się bokiem sunęli probować:
Łokcia nastawiać w klin a w wąsy dmuchać.

Przypuszczam, że nie trzeba być fachowym folkolorystą dla stwierdzenia przedziwnie uchwyconej prawdy momentu, fotograficznego, a jednocześnie poetyckiego, odtworzenia nie tylko w tym wypadku, ale wszędzie niemal jednako wyrazistej duszy tłumu chłopów. Tego tłumu, co ma raz poraz „lica w kolorze, zwięzły jest w sobie, żyłasty, roboczy“, wrażliwy, jak dziecko, na działanie chwili, ciemny jak tabaka w rogu, niezdolny do zapanowania nad ślepym temperamentem, niepodatny do systematycznej i celowej pracy. Sam nie wie on, czego chce, nie umie sobie radzić w obcym środowisku, ni orjentować się w położeniu, wymagającym decyzji. Beładna gawęda o wszystkim i o niczym, wrzaskliwa kłótnia o drobiazgi, junacka, ale iście chłopska gotowość do bitki, czasem niesforne warcholenie, słomiany bunt, pięciomi-

nutowa rebelja, w konkluzji posłuszne, bierne, cprawda do pewnych tylko granic, poddanie się cudzej woli lub tępa rezygnacja wobec zrzążeń losu. Przykłady same się proszą: rozmowy i kłótnie toczone bezustanku, szczególnie na okręcie, gorzałkowo-karciane pohulanki do ostatniego tchu, liczne krwawe bitki dla lada powodu, znamienne sceny rodzajowe przy wyborze posła do królowej angielskiej lub podczas podziału gruntów przez komisję rządową; narady nad sposobem urzędzenia wsi, głuchy fatalizm w obliczu grasującej zarazy, przed którą uciekać ciężki grzech i t. d. ad infinitum. Nieobliczalna wahadłowość woli, uczuć i postępowania zwiększa się ogromnie przez muzealny stan umysłów, pozostawiający wiele do życzenia przy bardzo skromnych wymaganiach. Przesady i zabobony w dziedzinie religii, lenistwo i niewyrobienie myślowe w każdej innej, niezdawanie sobie sprawy z najprostszych zjawisk świata, brak elementarnych wiadomości utylitarnych, nie mówiąc już o historii lub literaturze, która toczyłby musiała nierówną walkę z klechdą i bajką, — oto, co wyczerpuje treść intelektu. Lud polski, jak wogóle każdy inny, posiada bujnie rozwiniętą fantazję, ustalone legendarne wyobrażenia o świecie, wiele cudownych podań, niepozabawionych rzetelnej poezji. W tym wypadku autorka „Piosnek i piosenek“ umiała połączyć ścisłość psychografii etnograficznej z twórczym polotem pomysłu

artystycznego. W „Panu Balcerze“ aż roi się od fantastyczności ludowej i jej tworców: anioły, czarty, upiory rywalizują o lepsze (naturalnie tylko w opowiadaniach) z wiedźmami, czarodziejami, dziwożoną i t. d. Anioł skrzydlaty w białych lnach, grający na niebie na gęślikach, walczący podczas burzy z szatanem, doskonale oddaje odnośne wyobrażenia, panujące pod strzechą. Podobnie we właściwym kolorze utrzymany jest djabeł, który nawiedza ludzi jako „złe“ i włazi często w skórę zwierząt, upiór, wcielenie człowieka potępionego po śmierci, skarbnik, stróż ukrytych bogactw ziemi, zgodny zupełnie z rysopisem z „Podań“ Siemińskiego lub „Powieści wielkopolskich“ Berwińskiego. Dziwożona zato pomieszana jest nieco z rusalką, ale wiedźma wiernie jest odtworzona. Nie opuściła też poetka antropomorfizmu w stosunku do zjawisk przyrody. Burze, to ścieranie się wojsk niebieskich, którym przewodzi archanioł Michał, wichura stoi w przyczynowym związku z wisielcem, śmierć, to baba, Kostucha, sucha, koścista z nieodstępną kosą w dłoni. Boję się znudzić wyliczaniem, ale na uwagę zasługuje cześć oddawana czarokwitom, używanie węgla rozpalonego, jako odczyniającego środka przeciw urokom, sennik i kalendarz jako źródła wiedzy religijnej, naiwna antropomorfizacja pojęć chrześcijańskich, np. o Chrystusie, co szukał zbłąkanej owcy, bogactwie i przepychu tronu Stwórcy i t. d. Pod

tymi grubymi, zda się, nieprzeniknionymi warstwami ciemnoty kryje się żywa krynica uczucia, tkwi źródło wielkiej zatajonej mocy. W perspektywie dynamicznych przeobrażeń ukazała Konopnicka proces dojrzewania duchowego, ewolucję wewnętrzną, podczas której to, co było nieuchwytnie lub leżało martwo w głębinach, przybrało kształt rzeczywisty. Przemianę tę śledzić należy krok za krokiem.

W pieśni pierwszej przemożny czynnik tęsknoty i serdecznego rozdarcia przejawia się w postaci *fizycznego* jakiegoś żalu i wspomnienia. Wioska rodzinna w materialnym widzeniu różnych zajęć gospodarskich, miasteczko, kuźnia, czarny zagon ziemi rodzicielskiej miesza się w wyobraźni i myśli z fantastycznymi planami na temat przyszłej gospodarki w Brazylii, nadziejami łatwych zdobyczy pieniężnych, naturalną ciekawością, w końcu odwiecznym polskim, „jakoś to będzie“. Nastroj ten, względnie rzeźki, niepozbowiony wiary w lepsze jutro, nie mógł trwać długo. Już na okręcie przygnębiający wpływ wywiera fatalne pomieszczenie w brudzie, ścisku, w zatęchłym dusznym powietrzu, niemożność zaspokojenia takiej nawet skali potrzeb, do jakiej przywykł chłop, nie wspominając już nic o... wymyślonej przez szlachtę higienie. Zamiast pożywienia, nędzne ochłapy, brak jakiegokolwiek roboty sprowadza nudę, wychodzą na wierzch nałogi; śmierć i zaraza kładzie pokotem dzieci-

ptaszęta bez piórek. Przyszła oczekiwana godzina przybycia, do portu, nie powitał ich jednak wymarzony w słodkich snach Kardynał z krzyżem, naprzeciw wyszły wojska, oficer zakomenderował marsz, błysły w słońcu bagnety.

Nowe życie zrazu uśmiechnęło się nieco przyjaźniej, ludziska poczuli grunt pod nogami, więc pierś wezbrała otuchą, w oczach ciekawość i ochota. Wśród odpoczynku nie brak przy okazji zabawy tanecznej, dyszącej werwą ognistą nieklamanej uciechy; wiadomo, „u Mazura taka dusza, że choć umrze, to się rusa“. Uciszenie, jakby zatajenie się cierpienia, było krótką chwilą. Fatum wisi nad gromadą, dręczyć ją poczyna absolutna niepewność, co przyniesie dzień jutrzejszy, w najwyższym stopniu deprymująco działa bezczynność, mnożą się narzekania, sprzeciżki gwałtowne. Z większą, niż przedtem siłą odżywają dawne bóle i rany serdeczne, tracąc coraz bardziej swój pierwotny, ultramaterjalny, przyziemny charakter. Na domiar złego między wychodźcami szerzy się złośliwa febra, dziesiątkująca bez wyboru starych i młodych, ponura bezsilna rozpacz opanowuje wszystkich. Każdy dzień przynosi świeże żniwo śmierci, ratunku niema znikąd; utrwała się przekonanie, że klęski spadają ze specjalnego bożego dopustu, może kary, przed którą bronić się nie wolno.

Po długiej mitrędze zjechała komisja rządowa dla podziału gruntów. Następuje wyborna

w stylu, pomyśle i najdrobniejszych szczegółach wykonania scena bezładnych, przeważnie bezmyślnych przetargów z urzędnikami; scena, pod którą podpisze się bez zastrzeżeń każdy, kto uczestniczył kiedykolwiek w pertraktacjach z tłumem chłopów, naprzykład, układach o t. zw. powinności serwitutowe. Ludzie ci nie orjentuują się wcale w sytuacji; z początku stoją w milczeniu, nie rozumiejąc bez mała o co chodzi, później stawiają żądania, jakie im ślina na język przyniesie, nie zważając na to, że się one najczęściej wzajemnie wykluczają. Na poparcie swych aspiracji grożą, zaciskają pięści, dmuchają w wąsy, otaczając stół komisyjny zwartym ciasnym kołem. Jeden chce iść tam, gdzie się lepskie proso uda, drugi z równym ferworem żąda roli pod pszenicę, trzeci krzyczy coś o koniczyne, gotów do równie fachowej jak wrzaskliwej dysputy, gdzie jakie zboże zasiać należy. Koniec nie trudno przewidzieć; zniecierpliwieni urzędnicy zdecydowali się na presję i stanowczość, pada krótka komenda niby w wojsku, bezprawnie dzieli emigrantów na dwie partje; silniejszych śle w poręby, słabszych do plantowania kawy w „facjendach“. Ciężkie było dla gromady rozstanie, ale uległa pokornie nakazowi z typową apatyczną biernością, zapominając o niedawnej bucie i groźnej postawie. W puszczy zawrzała gorączkowa zawzięta praca; wzięto się z całą duszą do karczowania lasu, aby

Przygotować grunt pod gospodarkę na własnych śmieciach; ten... i ów zaprowadzał dawne zwyczaje i tryb życia.

Więc było patrzeć na te batalije,
Na Wyrwidęby te i Waligóry!
Przą się karki, wzdymają się szyje,
Żył widać bicie skroś spalonej skóry.
Aż świsnie topór, huknie, jak grom bije...

Daremne wysiłki. Odwieczny bór stoi twarde, nie spieszo mu kapitulować przed toporem; kto wie, może dlatego, że sprawność i sprężystą siłę krzepkiej dłoni osłabia coś potężniejszego od woli człowieka. Stalowe mięśnie obewładnia palący jad, który sączy się kropla po kropli w żyły, wsiąka w najmniejsze pory skórne. Naprzeciw zaciętej, dyszącej rozpaczą i zdeteminowanym uporem twardości chłopskiej staje tajemna, niedostępna obliczeniu moc puszcz; rozsiewają grozę i postrach niezrozumiałe dla prostych umysłów zjawiska, dziwy obcej przyrody, ziemia-macocha rodzi jeno czarną kukurydzę, jakby na drwiny. Mniejsza o niewygody, kłopoty, biedę graniczącą z głodem; do tego chłop przywykł od młodu, ale słowo ostatnie wypowiada tu olbrzymia wszechogarniająca tęsknica, nieprzeparowane niczem miłowanie. Z tajnych podświadomych stanów jaźni dobywa się *widmo-zjawa: Polska zapanowuje nad wszystkim, wypełnia serce i głowę.*

Nie mogli zdzierzeć. Przytuła popęlnia

przestępstwo w oczach ludu jedno z najstraszniejszych, wiesz się na drzewie pobliskim; w piersiach innych bardziej hartownych dojrzewa nieodwołalne postanowienie powrotu, obejmuje ster myśli i czucia. Iskrą rzuconą na nagromadzony proch był przyjazd delegatów rządowych w celu wyegzekwowania odrobku w naturze za nadane grunta. Przypomniała się nieawistna pańszczyzna, nastąpił otwarty bunt, spalono za sobą mosty, pozostało jedno wyjście z położenia, wyjście upragnione — powrót.

Idą. Dech świszczy. Wychudłe i blade
Twarze. Pod węzełkami idą zgięci.
Stopy ich broczą krwią...

Wokół piętrzą się trudności ogromne, jak w legendowej baśni. Dzikie ostępy pustynne, bezkresne stępy pozbawione wody i zwierzyny; upały nie do zniesienia, straszne przygnębiające uczucie przy spotkaniu na drodze pustej, dawno wymarłej osady polskiej. U krańca niemal wędrowki wyrosły nagle przed śmiertelnie zmęczonymi tułaczami granitowe zwały skał, stanowiące pozornie nieprzerwaną obręcz. Nic to. Męka sięga zenitu, spiekłym wargom brakło napoju, wzrok wpół tylko przytomny rozstrzuwa wizje gorączkowe, wściekłe szalone zacięcie się w sobie, milczące zdecydowanie na wszystko. Nic to. Niewidzialna siła pcha naprzód; idą w szczytowej ekstazie naprężonych nerwów i rozgorzałego serca, idą za mistycznym znakiem Polski.

Zewsząd kusiła śmierć spokojnym słodkim snem wiecznego odpoczynku. Przez chwilę здавало się, że sił nie starczy; wziął górę instynkt samozachowawczy w formie czynnej miłości matczynej, zwyciężyło wołanie dalekiej ojczyzny, zrodzone w głębinach serc. Jeszcze trochę wytrwania, okropna przeklęta droga była już przeszłością.

Wypadki prą jedne za drugimi z kalejdoskopową szybkością. Złączenie z resztą gromady, wspólna praca na plantacjach ożywiona wyłącznym celem zdobycia funduszków na powrót, krwawa walka z murzynami, wyborna w kolorycie, prawdziwa jako moment psychologiczny natury chłopskiej. Nowy etap, zbliża się początek końca. Emigranci znaleźli się w mieście portowym. Niespodziewanie czeka ich tu pierwsza bodaj na obczyźnie istotna radość; spotykają grupę polskich wychodźców z poznańskiego, Burniaków, od lat kilkunastu osiadłych w Brazylii, wcale nieźle zaklimatyzowanych i z wolna nieznacznie podlegających wynarodowieniu lub w najlepszym razie indyferentyzmowi (z małymi wyjątkami) względem starej ojczyzny. Różnice między dwoma partjami są zasadnicze. Jednodniowa gościna w Burniackiej zagrodzie daje możność poznać je dokładnie; toczą się szczerze rozmowy. Przed oczyma migają, jak w widmie świetlnym, wszelkie możliwe odcienie związków uczuciowych: od spokojnej trzeźwej oceny rozu-

mu, że „pod Prusem“ źle, a w Brazylii lepiej, do namiętnych żywiołowych ukochań, nie znających kompromisu, ani na chwilę jednak nie wyzutych z dotykalnych kształtów realnych. Chłodno-utyłitarne wyrachowanie, kult materialnego dobrobytu, zrzadka zmiękczony w wyrazie przez wspomnienie bardziej pamięciowe, niż rzewne; naprzeciw gorąca, naprawdę wielka siła uczucia; *jedna myśl, jeden cel*, potężna moc odrodzonego ducha.

Ziemio ty nasza! Cóż nam się ostało,
Jeno ty sama i twe miłowanie!
Choćbym cię ojcem nazwał, — jeszcze mało...
Boś ty jest wszystko! I dusza, i ciało,
I ród, i życie, — wszystko w twoim mianie!

Mimo pomocy braci Burniaków, pieniędzy na żeglugę do Europy było mało, więc staje wiejski lud roboczy do ładowania węgla w przystani, do pracy, której nie zaznał od rodu. Wchodzą chłopci w obcy nieznany świat robotnika miejskiego, stykają się piersią w pierś ze wzburzonym rewolucyjnym proletariatem węglarzy, widzą czeluść przepastną między górnym miastem, co ęmi białością marmuru, a drugim dolnym, które mrowi się u morza „w nędzy, pijaństwie, w brudzie czarnym łachem. Z dołu gniew głuchy, a z góry szła wzgarda“. Z nieubłaganą konsekwencją prawdy życiowej rozwijają się wydarzenia, psychologicznie wagi epokowej, pojęte z niezwykłą głębią i subtelnnością twórczej intui-

cji, rozwiązującej jednym pomysłem samorzutnej koncepcji ciemne zawile zagadki socjologiczne, nad którymi daro głowią się patentowane powagi w togach i biretach.

Jak pożar bucha gniew ludu, łączy wszystkich w jednym uczuciu krzywdy i nędzy wydziedziczonych. Chłop polski konserwatywny i do niedawna obcy, prawie wrogi, rewolucyjnej idei społecznej, bierze udział aktywny, udział serdeczny w imponującej groźnej, a majestatycznie spokojnej manifestacji węglarzy, ich zwycięstwie moralnym, symbolicznym zatknięciu na białej giełdzie wobec struchlałych trzęsących się kupców, wobec obnażonych szabel milicji czerwonego sztandaru, sztandaru krwi ducha i ciała, znamienia przełomowej godziny. Jakże się to stać mogło? Nietylko mogło, ale *musiało*; bo chłop polski *przemienił* się w sobie do cna; ciemnota, ciasny egoizm kastowo-powiatowy, ślepa bezkrytyczna wiara w tradycję i nienaruszalną hierarchję społeczną prysła jak mgła. Ogień żywego cierpienia, żar świadomej oczyszczającej i wyzwalającej miłości dobył kruszec z rudy niekształtnej, odpadły precz plewy, miejsce małości, ciemnoty, fanatyzmu, niezdolności do czynu zajęła rozbudzona *solidarność wszystkich, co walczą*; poczucie potęgi zestrzelonych w jedno ognisko duchów, połączonych urobionych po łokcie czarnych rąk. Sami ci polscy bezdomni włóczęgowie przeszli przez piekło, targającej ich duszę,

boleści; nie dziw, że zrozumieli mękę innych, w bratnim uścisku złączyli się z obcym narodem i klasowo węglarzem, poddając trafnej, głębokiej, trzeźwej ocenie stan rzeczy. Pojęli oni jasno, że tak jak jest być nie powinno, że ten ustrój społeczny, gdzie jeden człowiek gnębi drugiego, wysysa zeń wszystkie soki, aby potem odrzucić jak zużytą cytrynę; ten ustrój, sankcjonujący wesele kosztem łez i bogactwo kosztem zbrodni, ustrój, który daje zewnętrzny szych, wytworność razem z pruderją, okrucieństwo łączy z upodleniem, jest *niesprawiedliwy dla wszystkich*, okrutny dla milionów, pozornie uśmiechnięty dla wybranych tysięcy — „to jest prawo pieskie, nie Adamowi dane, nie niebieskie“. Zresztą najsilniejszym kierowniczym motywem tej garści wybranych, co ocalała z klęski, był nie rozum trzeźwy, analityczny, a płomienisty znicz uczucia. Porwało ich to uczucie za sobą, kazało iść w pierwszym szeregu skrzywdzonych, co przyszli wołać prawa.

Opis zwycięskiego pochodu nowoczesnych niewolników zaliczam do najpiękniejszych, najmocniej odczutyh kart poematu. Konopnicka pozostała sobą w całej tej świetnej dygresji, nie zniżyła się do partyjności; stanęła zdala od głośnych popularnych tanich haseł. Ku wielkiemu smutkowi, czyhających na jedno fałszywe estetycznie posunięcie, faryzeuszów literackich rdzen-

nie polskiego pochodzenia, nie przejaskrawiła ani żdźbła.

Między natchnione strofy nie przedostał się żaden krzyk ulicznej propagandy, nie zagłuszył powagi i podniosłości twórczej zgiełkliwy odgłos broszur agitacyjnych.

Nigdy nie widział tak kamiennych twarzy,
Tak gorejących oczu, tak zaciętych
Szczęk, zębów, jako u onych węglarzy...
I nigdy ogniów nie widział tak świętych.
I tak piekielnych razem, że aż parzy...
Nigdy hardości takiej w karkach zgiętych,
Takiego gniewu i takiej rozpaczy,
Co jest śmiertelna sama, — śmierć znaczy.

* * *

Jakże? Królewski majestat był prawie
W tym tłumie co tak szedł jakby na wojnę.
Ten sztandar górny chwiejący się krwawie,
Te twarze groźne, a przecież spokojne,
Ta moc stojąca na ludzkim swym prawie,
Te ręce władne świat brać, a bezzbrojne,
Te poczerniałe w twardej nędzy głowy,
Ten śpiew co walił w miasto piorunowy...

Na czele pochodu zaraz za krwawym sztandarem szedł milczący, ponury, w gorzkiej zadumie Sekura, obok staruszka święta z nad Buga, za nimi zwarta kolumna głów i serc, wyżej nad tłumem ciało przykryte łachmanem, trup mazura, tułacza, co umarł z głodu.

Przebudowa ducha skończona. Powstał z niej *nowy człowiek*, dzielny, mocny, świadomy swych zadań i celów w ojczyźnie, w twardej

szkole nieszczęścia nauczony norm rozwoju społecznego.

Tymczasem nad Polską rozgorzały łuny pożarne, zawrzała walka ofiarna, gorączkowa, bezładna, chwilami bliska częściowego zwycięstwa. Ziemia-sierota, ziemia ojczysta, umiłowana wezwwała syny na swoją obronę jękiem cichym, a jednak głośnym. Skroś morza i cudze krainy przeleciała na drugą półkulę wieść skrzydlata, wieść radosna o pierwszym zwiastunie wiosny — ukazie tolerancyjnym. Podziałało to jak błyskawica, przerywająca czarne gradowe chmury. Już czas, dłużej czekać nie wolno; *kategoryczny imperatyw powinności każe wracać*. Bo tam w domu rodzinnym trza teraz odrodzonego plemienia ludzi, bojowników niezłomnych, bojowników bez trwogi i słabości, gotowych na śmierć lub długie, pozbawione jednego promyka życia, życie poświęcone Sprawie.

Ruszył się lud niewstrzymaną lawiną. Z najodleglejszych krańców emigracji przybawają tłumy wygnańców; na wezwanie matki spieszą bez chwili wahania, idą nie jeno czołem paść o zaproże, nie jeno żal i tęsknotę ukoić, zakrzepłe rany obmyć w krynicy polnego ruczaju. Te tłumy *poczuły się w jestestwie swoim*, zdecydowane są na walkę zawziętą, upartą, choćby śmiertelną, na ofiarę męskiego wyzwalającego czynu, na rozpętanie burzy, wściekłe gromy piorunów, walących bory o spróchniałej korze.

Czemu nie wszyscy poszli, czemu Burniacy zostają w metropolji? Może to czysty przypadek jedynie, proste przeoczenie lub chęć wprowadzenia niejakiej przeciwwagi idealistycznemu porywowi tamtych. Może jednak było zgoła inaczej, a ci siermiężni pozytywiści niedarmo pochodzą z poznańskiego. Jeśli przyjąć to drugie, wtedy fakt abstynencji Burniaków w ruchu ogólnym nabiera specjalnego znaczenia, jest przestrogą bolesną pod adresem Wielkopolski, prastarej królewskiej kolebki narodu, potępia głośno a niedwuznacznie jej ekonomiczny rozum stanu przepelniony po brzegi wyborowym zbożem wzorowych gospodarstw rolnych, dzielnicowy patriotyzm, nie wybiegający poza kominy fabryczne i sklepy współdzielcze albo, co najwyżej, graniczne kopce królestwa pruskiego.

W kontekście „Pana Balcera w Brazylii“ niema dostatecznych danych dla stwierdzenia definitywnego tego skądinąd ryzykownego przypuszczenia, niema przynajmniej dowodów ścisłych pod względem naukowo-krytycznym. Z konieczności takie lub inne tłumaczenie roli, jaką odgrywają Poznaniacy, musi pozostać dowolną hipotezą, opierającą się na ogólnych konsekwencjach ideowych, które wynikają z „Pana Balcera“.

Na tem można zakończyć uwagi nad ludem polskim i jego psychiką zbiorową, zarysowaną w „Panu Balcerze“. Ale w poemacie tym już z samej natury akcji, toczącej się na obczyźnie,

występują i występować muszą cudzoziemcy. Używa ich Konopnicka głównie w charakterze kontrastowego przeciwstawienia w stosunku do polskiej duszy ludowej. Przy analizie szczegółowej łatwo zauważyć, że znaczna ilość działających w eposie jednostek dopiero przez takie zestawienie kontrastowe zyskuje właściwy koloryt i plastykę. To samo zjawisko ma miejsce, gdy idzie o gromadę ludzką; żywymi przeciwstawieniami są tutaj żywioły obce — francuzi, włosi, niemcy i t. d. Siła kontrastu uwydatnia się najwyraźniej, jeśli obok gromady tułaczy z nad Wisły i Buga postawić zimnych, wyrachowanych niemców z nieodstępną fajką w zębach i ową trzeźwą praktycznością oschłego serca, co pozwala im „ojczyznę wozić na wózku“, wszędzie, gdzieby ich los nie rzucił, zaklimatyzować się, nie tracąc ani na chwilę ociężałego spokoju i sytej filisterskiej pogody.

Efektownie odbijają od ogólnego tła włosi, chytry, sprytni obieżysasi, skamlący o litość lub wsparcie przy lada okazji, pozbawieni z kretesem wstydu i godności osobistej. Prócz tego znachodzą się w poemacie francuzi, faktorzy żydowscy, w końcu tubylcy, murzyni. Ci ostatni niezbyt się coprawda udali; wyglądają, jakby ich przeniesiono wprost z podręcznika geograficznego, wyznaczone funkcje spełniają z maszynowym mechanizmem, przypominając ludzaco grę lalek aktorskich w kinematografie.

V.

PARĘ UOGÓLNIENI.

Roztoczył „Pan Balcer z Brazylii“ przed zdumionymi oczyma czytelnika niezwykle bogactwo artystyczne, dał niecodzienną dziwną treść, temat do zadumy surowej samotnej.

Jakie miejsce zajmuje ten utwór w literaturze i życiu narodu, co w Polsce przynajmniej prawie zawsze na jedno wynosi.

O pewnej zależności twórczej od Mickiewicza mówiłem już w swoim miejscu, w obrazowaniu często załatuje echo Słowackiego, do którego Konopnicka zbliża się nastrojowością i organizacją poetycką. Bliższe badanie fachowe wykryłoby zapewne ślady literatury powszechnej, znajomości z Leconte de Lisle i Carducim, Banvillem i d'Annunziem; szperacze pojadą może jeszcze do opowiadania „Na oceanie“ Amicisa, nie troszcząc się o taką drobnostkę, że

Amicis tworzył włochów od stóp do głów, a Konopnicka Polaków w każdym calu. Porównywanie takie jest nawet ciekawe, ale dla celów niniejszej pracy niemal bezcelowe. Konopnicka zapożyczyła się istotnie tam, skąd zaczerpnąć musiała—u *źródeł podziemnych duszy ludu*.

Nie myślę kruszyć kopji o definicję schematyczną, zaliczenia „Pana Balcera“ do rzędu epopei klasycznej wzorowej, pół czy ćwierć klasycznej albo wreszcie lirycznej, jak chce pan Majkowski. Teoria prozy i poezji wraz z suchymi pedantycznymi kategorjami niechaj służy spokojnie do użytku w szkole średniej; o ile jest ona bardzo pożyteczna dla gimnazjalistów, o tyle bardzo niebezpieczna jako kryterjum przy ocenie twórców sztuki.

Znaczenie ostatniego dzieła Konopnickiej określa przedewszystkim i prawie wyłącznie jego zawartość wewnętrzna. W zarysie historycznym poezji polskiej po roku 63-cim¹⁾ przyznano poematowi „podniosłość nieznaną w poezji całego czterdziestolecia“. Znakomity krytyk polski, Wilhelm Feldman²⁾, wartość jego upatruje głównie

¹⁾ Dr. Tadeusz Grabowski, „Poezja polska po roku 1863-cim“, Kraków, 1903 rok.

²⁾ „Współczesna literatura polska“, wydanie V, rok 1908. Wilhelm Feldman literaturę swą w nowym wydaniu pisał w roku 1907, gdy jeszcze „Pan Balcer“ nie był skończony; dziś prawdopodobnie sąd swój, słuszny zresztą, rozszerzył.

„w wielkiej wspaniałej galerji typów chłopca polskiego“. Oba te sądy zawierają dużo słuszności, ale nie są pełne i nie doceniają, ze zrozumiałych skądinąd przyczyn, wartości zawartych w testamencie twórczym poetki. Samo skupienie w jedność, spotykanych już gdzieindziej w rozproszeniu, rysów i typów prowincjonalnych i jednostkowych, to bardzo wiele, szczególnie, jeśli jedność ta ujęta jest w szerokie ramy obrazu epickiego, imponuje melodją wierna i barwnością wyrazu, chwyta mocno ową istotną spójnię, co łączy nierozzerwalnie wszystkie lokalne odmiany jednej całości, wszystkich chłopów w jeden lud. Ale w „Panu Balcerze“, wymienione jakości nie wyczerpują całkowicie treści, pozostaje jeszcze do wzięcia pod uwagę przewodnia myśl twórcza, to co sformułowałem wyżej jako *symbolizm ideowy, wcielony w żywego człowieka*. Dopiero takie pojęcie i rozumienie tego poematu daje wrażenie jednolitej, skończonej w sobie całości, pozwala bez kadzideł bałwochwaltstwa, ale także bez (mimowolnego może) pomniejszenia określić punkt, przezeń zajmowany w stosunku do innych pokrewnych wewnętrznie utworów. Podmalowanie takiego tła ogólnego, na którym uwydatni się odrębność Pana Balcera i te nowe wartości, jakie on z sobą wnosi, jest koniecznością, ale zarazem przedsięwzięciem trudnym, a nawet ryzykownym...

Ogólnie bowiem biorąc, nasza literatura

piękna nie grzeszy bynajmniej brakiem tak zwanej ludowości. Owszem tematy tego typu są omal nie ulubionym przedmiotem koncepcji artystycznych o różnorodnej formie, treści i założeniach wewnętrznych; na zjawisko to składają się przyczyny głębokiej podstawowej natury, sięgające do źródeł psychologii narodowej i obecnego położenia społeczno-politycznego.

Silne i bezpośrednie jak nigdzie indziej spełnianie się żelaznej konsekwencji win i krzywd dziejowych, uczucie karmione posiewem krwi i męki, czujna, wytężona świadomość, ze naokół wymyka się wszystko z pod nóg, i tylko masy ludowe, robotnicze i chłopskie, pojęte jako *siła żywa*, mogą powstrzymać straszny proces samozagłady—wszystkie te czynniki razem wzięte wytworzyły sytuację specjalną. Życie polskie deptane z zewnątrz, rozdarte samo w sobie, stające co chwila przed położeniem bez wyjścia, nie chciało jednak za żadną cenę wyrzec się dziwnej woli istnienia, nadziei wbrew logice, wiary a nawet wysiłków rezurekcyjnych wbrew wymowie, uznanych za nieprzewyciężone, faktów. W tym całym kompleksie zagadnień, które wciskają się w każdą szczelinę myśli polskiej, zajmują sobą fantazję i wyobraźnię twórczą nawet srebrnopiórych, tęczowych rycerzy Słowackiego, przemawiają cichym a wszędzie zrozumiałym głosem do rozgorzałego uczucia, lud polski zając musiał stanowisko pierwszo-

rzędne, nie jeno jako obiekt systematycznych nauk społecznych i uczuć humanitarnych, materiałem ciekawości geograficznej i kopalnią materiału malarsko-artystycznego, ale przede wszystkim jako coś, co decyduje o przyszłości narodu, rdzeń syntezy zbiorowej, do której zdążyła dusza polska. W ścisłym znaczeniu tego wyrazu stało się to dopiero po roku 63-cim, gdy na skutek klęski politycznej i zmienionych warunków socjalnych rozpoczęło się gruntowne przeobrażenie społeczeństwa na modłę nowoczesną, i kwestje, dotyczące ukształtowania się spraw wewnętrznych wysunięto siłą rzeczy na czoło. Oczywiście nie jest to bynajmniej jakimś wynalazkiem doby popowstaniowej. Ślady odnośnych zainteresowań znaleźć można jeszcze w czasach Stanisława Augusta. W Polsce porobiorowej od „Krakowiaków i Górali“ Bogusławskiego, gruntownie już dzisiaj zapomnianych „Pieni wiejskich“ Reklewskiego, po przez utwory obu braci Brodzińskich, Góreckiego, Koźmiana, Niemcewicza i innych jeszcze, wreszcie przez całą wielką polską twórczość romantyczną, aż do sentymentalnych, paniczykowatych pastuszków Lenartowicza nie przerywa się ani na chwilę barwne pasmo opisów życia ludu, przesuwają się cały szereg różnorodnych ujęć, mniej lub więcej bezpośrednio związanych z jedną i tą samą sprawą. Ale te wszystkie próby, te wszystkie głosy, które zanotować i zestawzić warto

w osobnym opracowaniu, nie nadają się na materiał porównawczy do Pana Balcera. Dlaczego? przecież we wspomnianej twórczości pierwszej połowy XIX stulecia niejednokrotnie zdarzały się bądź całe utwory, bądź poszczególne obrazy bardzo charakterystyczne, dużej wartości estetycznej, nie potrzebujące bynajmniej (szczególniej porównawczo) obawiać się wydobycia z pyłu archiwalnego. A jednak bezpośrednia konfrontacja chybiłaby stanowczo celu, brak do niej wielu koniecznych warunków; różnice metody twórczej są zbyt wydatne, aby je można ująć w szkicowym przeglądzie, brak także pewnego pokrewieństwa sposobu myślenia i nowoczesnie pojętej idei demokratyzacji społecznej. Taki na przykład lud w Panu Tadeuszu wymaga zupełnie innej oceny psychologicznej, niż gdyby dzieło Mickiewicza powstało już po uwłaszczeniu włościan na obszarze ziemi polskiej. Mniejsza już bowiem o to, że chłopci mickiewiczowscy nie mają wcale w sobie życia, bo to można w pewnym stopniu tłumaczyć epizodycznym charakterem ich pojawienia się, ale nawet ów gest ideowy, który mają reprezentować, jest jakiś połowiczny, skrępowany, cała scena usamowolnienia włościan ma w sobie coś z aktu łaski pańskiej, daleką jest od realistycznego odtworzenia pewnej chwili, która jest niczym innym jak zewnętrznym wyrazem koniecznej ewolucji historycznej. O obiektywnym wniknięciu w duszę

chłopską, podpatrzeniu ich swoistych właściwości, indywidualnego sposobu reagowania na światło dzienne, niema nawet mowy. Do tego trzeba było dopiero by się spełniło w rzeczywistości to, co miało żyć w pieśni. Jeśli więc, a w danym wypadku jest to jedyne racjonalne, jako kryterjum porównawcze obrać nie suche reguły gramatyki estetycznej, ale wewnętrzną, istotną treść i pewne podłoże myślowe jednego wymiaru o różnej kombinacji jednorodnych pierwiastków, to z czystym sumieniem wolno rozpocząć rachunek od Wasyla Hałuba¹⁾ Miłkowskiego. Wcześniej coprawda wystąpił Kraszewski ze swoją „Ulaną“ i „Historją Sawki“, ale rysuje on raczej dolę ludzi i zło, wynikające ze stosunków pańszczyźnianych, niż charakterystykę chłopca jako takiego. Zresztą demokratyzm Kraszewskiego był także owej starej marki, albo gorzej jeszcze niż starej, bo mocno wątpliwej. Pomściło się na znaczeniu jego wystąpień znane niezdecydowanie w kwestjach społeczno-politycznych, nie pozwoliło mu ono stanąć mocno ani na gruncie zachowawczości, ani postępu, od „Ułany“ doprowadziła do „Ładowej Pieczary“, fantastycznego i z gruntu nierealnego przedstawienia stosunków pańszczyźnianych jako idylli patryarchalnej, najlepszej formy społecznego by-

¹⁾ „Wasyl Hołub“ drukowany w „Dzienniku Literackim“ w r. 1858-ym.

tu. Zupełnie inne stanowisko zajął Teodor Jeż. Jego Wasyl Hołub jest może zbyt optymistycznie przedstawiony, ale zawiera w sobie wi doczne pierwiastki realizmu twórczego, zarysowuje się wyraziście na tle szerszej myśli społecznej i nie traci własnej indywidualności; on dopiero może być uważany za protoplastę żywych postaci chłopskich, uosabiających ideę swego czasu.

W pierwszych chwilach po uwłaszczeniu, co jest zresztą skądinąd zrozumiałe, zapanował w opinii pewien zdawkowy, sentymentalny i pa pierowy demokratyzm, ale trwał niedługo. Ten sam Sienkiewicz, który tak mocno grzeszy przesadą i pewną nienaturalnością w „Szkicach wę glem“, z zupełnie innej strony szkicuje swego Bartka Zwycięzcę. Tak bardzo usprawiedliwiony przez stosunki zaboru pruskiego pesymizm nie ma tu bynajmniej cech słabości czy rezygnacji, przeciwnie czuć w nim rozpęd i siłę prawdy ży ciowej, bolesny obraz rzeczywistości uderza żywą ekspresją malarską, instynktownem wyładowaniem kipiącej, przelewającej się energii ży wiołu. Z punktu surowych wymagań możnaby twórcy trylogji niejedno jeszcze zarzucić, w ka żdym razie jest to fragment bardzo znamieny, wskazujący wyraźnie, że zmieniły się czasy i lu dzie, więc zmienić się musiały stosunki, prądy i aspiracje artystyczno-psychologiczne.

Na twardym gruncie surowej rzeczywistości

oparł się już zupełnie Bolesław Prus, tworząc z materiału, dostarczonego wprost przez życie, chłopą, który stoi na ziemi całą stopą, myśli, czuje i postępuje zwyczajnie, nie jest ani lepszy ani gorszy od tysiąca swoich kamratów. Posiada on złe, przyziemne instynkty lenistwa, bierności, egoizmu, jest brutalem w codziennym pożyciu, głupim i obojętnym na wszystko niemal, co się wokół niego dzieje. Lecz ma ten człowiek pierwotny jedno podświadome, instynktowe uczucie, ślepe, namiętne przywiązanie do roli, którą własną krwawicą uprawia. To uczucie jest jego potęgą, ono daje gwarancję przyszłości narodowej, podwalinę epoki z kamienia, o którą pokrwawi sobie pazury zaciekły wróg. „Placówka“ pojawiła się w r. 1886, w czasie pamiętnych rugów pruskich, gdy tragedia dziejowa, jakiej niema przykładu, domagała się jakiegoś rozwiązania logicznego, któreby było zarazem zadosyćuczynieniem uczuciu. Taką konkretną odpowiedź na najbliższe i najboleśniej-sze zagadnienie swego czasu dała społeczeństwu, przyjęta z niebywałym entuzjazmem, powieść Prusa. Nie była ona zresztą samotnym, pojedynczym głosem. Na krzyk bez słów, który szedł z Wielkopolski, wstrząsnęło się wszystko, co żywe, poszło echo szerokie i głośnie, znajdując wyraz to w zdwojonej pracy milczącej i ukrytej, to w obrazie, zaczerpniętym z życia, to

wreszcie w skardze bolesnej, jak naprzykład: „Do Granicy“ Konopnickiej:

„O utajony na krzyżu, O Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz obronę
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone!

Wzmóżona świadomość zbiorowa i ciągle rosnące poczucie nieprzerwanego łańcucha coraz nowych krzywd wydały wkrótce rezultaty już nie literackie, ale realne. Odrodzenie Szlązka, zacięta, niesłychana w niektórych swych objawach odporność, jaką okazał, niestety w jednostronnym nieco zastosowaniu, chłop wielkopolski stwierdziły najoczywiściej słuszność teorii i trafność obserwacji.

Dalszy etap rany i przemienienia na czynną moc drzemających sił polskiego ludu ukazuje fragmentarycznie Sewer w „Maćku w powstaniu“¹⁾, który, umierając, ostatnim błyskiem przytomności nakazuje żonie schować karabin, bo się jeszcze przydać może, bo „Polska to wielga rzecz“.

Sewer pozostał w ostatnim swoim utworze wierny samemu sobie, nie sprzeniewierzył się tradycjom „Przybłędów“ i „Biedroni“, nie idealizuje on swego powstańca. Maciek nie charakteryzuje się bynajmniej jakąś specjalną sub-

¹⁾ „Na pobojuwisku“ tom jeden utworów nie-cenzuralnych, wydany po śmierci autora.

telną szlachetnością, ma wszelkie właściwości pierwotnej, zgrubiałej, ociosanej natury, aż tryska rzetelnym realizmem, gdy prosto po chłopsku rozbraja nieprzyjacielskiego żołnierza i zabiera mu przedewszystkiem... buty; posiada on poważne dane, aby stać się typem symbolicznym w dużym stylu, choć nim właściwie nie jest, bo występuje zbyt epizodycznie i w sensie jednostkowym.

Nieco na uboczu od głównego biegu życiowych i psychologicznych przeistoczeń ewolucyjnych duszy chłopskiej stoją dwaj pisarze, skądinąd zupełnie do siebie niepodobni, a w tym właśnie kierunku niepozbowieni cech wspólnych. Domyślić się łatwo, że idzie tu o Klemensa Junoszę i Adolfa Dygasińskiego. Obaj ci powieściopisarze odznaczają się mianowicie drobiazgową obserwacją codzienności, przyrodniczą metodą opisu ludzi i zjawisk, wreszcie, szczególnie Junosza¹⁾, szczerym jowialnym humorem, tą pogodą i spokojem, która ma tak mało odpowiedników we współczesności. U Dygasińskiego oczywiście znacznie mniej spotyka się owej dobrodusznej szlacheckiej równowagi, ja-

¹⁾ Junosza traktuje chłopą w swoich powieściach przelotnie tylko, ale cały za to utwór nieprzeciętnej wartości poleca „Panom braciom” szlachcie zagony, która Bogiem a prawdą niewiele się różni od swych nieherbowanych sąsiadów.

kiegoś swojskiego, poczciwego stosunku do ludzi, umyślnej nieraz nieświadomości czy niechęci widzenia brudów życiowych. Naturalizm autora „Beldonka” nie pozwolił mu na to; przyrodnik ma oczy szeroko otwarte, widzi naturę ludzką ze wszystkimi jej sprężynami, taką jaką jest, pomaga mu serce rozległe, wykształcone w odczuciu niedoli, materiału dostarcza obserwacja systematyczna, szczegółowa, niby spokojna a przecie wrażliwa, niby chłodna a przecie współczująca. Niekiedy tylko nad Dygasińskim pozytywistą i przyrodnikiem, publicystą i pionierem naturalizmu w sztuce brał górę poeta, poeta o rozlewnej, szczerzej, uczuciowej naturze, obdarzony niezwykłym wyrazistością i barwą widzeniem przyrody, tkliwym uczuciem względem ludzi, ba! nawet niewiadomo skąd krzesanemi iskrami złotego humoru. Nie spotykamy tu bezpośrednio poruszanych zagadnień, tyjących się zbiorowej psychologii ludzi, niema syntezy, ale mozaika cech indywidualnych, fotograficznie zdjętych na kliszę, jest bardzo różnorodna i prawdziwa.

W głębsze podkłady psychologii wprowadzie także pojedynczego indywiduum, ale niemniej ciekawe i rzadko zwiedzane, wstąpiła Eliza Orzeszkowa. W swoim „Chamie” dała ona kreację dużej wartości filozoficznej o bardzo sympatycznym tonie, prostej, nie liczącej się z żadnym komunałem etyki wewnętrznej i naiwnego może

a mocnego nad życie uczucia niepokalanej czystości.

Mimo to jednak, a może właśnie z powodu zbyt wysokiego rytmu duchowego, Paweł robi wrażenie oderwanej abstrakcji artystyczno-myślowej, słabo tylko związanej z ziemią i konkretną rzeczywistością, nie mówiąc już nic o niemal zupełnym pominięciu w powieści życia zbiorowego (nawet gromada wiejska okazuje się tylko przelotnie).

Dziwne zjawisko w stosunku do interesującego nas cyklu zagadnień psychologicznych stanowi Kasprowicz. W zaraniu jego twórczości zdawało się, że na arenę literacką wkroczył twardy, nieociosany, trochę gruboskóry, obdarzony niez użytą jeszcze zupełnie siłą uczuciową chłop polski; zdawało się, że jeśli kto, to właśnie ten duch niespokojny, kipiący wewnątrz, pełny nieświadomych głosów, żywiłowo przeciwstawiający swoje ja formom i treści starej kultury, jest jedynie powołany i zdolny do wytworzenia ogólnego typu chłopca-człowieka, chłopca-polaka.

Jeśli chodzi o zasadniczy instynktowy prawie stosunek pierwotnej psyche ludzkiej o mocnych władzach psychicznych i władnym niepowstrzymanym porywie uczuciowym do świata i bóstwa, zła i cierpienia, życia i bólu, jako jego immanentnej treści, to twórca „Dies irae” poszedł istotnie w kierunku, jaki przewidywało pierwsze

wrażenie. Porwał go niepodzielnie zawrotny wicher tajemnic kosmogonicznych, namiętna, uporna, wściekła walka kulturalnego intelektu z bezpośrednio żywych pragnień, żądź i ukochań, pierś jego wstrząsnął niepamiętny na nic, rozsadzający wszystko krzyk wieczny, krzyk wszechczłowieka, nieśmiertelny tragizm ducha przy zetknięciu się z potwornym kłębowiskiem bytu. Oczywiście, że ogrom zagadnień pochłonął go w całości, nie zostawiając prawie miejsca na nic innego. Do realistycznego zużytkowania codziennej życiowej obserwacji, wcielenia w konkretną formę jakiejś określonej idei społecznej w czystym kształcie artystycznym Kasprowicz nie posiada danych. Jego stosunek do ludu bezwarunkowo szczerzy i głęboki uczuciowo, nie pozbawiony nawet żywego związku osobistego, tchnie jednak retoryką i w zewnętrznym wyrazie razi sztucznością, odgłosami artykułów publicystycznych albo przesadną manierą pesymizmu pseudorealistycznego ¹⁾.

Podobnie odrębne, swoiste stanowisko zajmuje Kazimierz Przerwa Tetmajer. Wstępny bojem zdobył on ostrogi rycerskie, zasłużył sobie na uznanie już nie jakichś zaślepionych wielbicieli młodej Polski, ale nawet samego prof. Stanisława hr. Tarnowskiego (z licznymi oczywiście zastrzeżeniami). W rozetkanej pesymiz-

¹⁾ „Z chłopskiego zagonu”, 1891 r.

mem i nabrzmiałej szaleńcem niepohamowanych żywiołowych zmysłów lirze poetyckiej znalazło wyraz swój rozbicie ideałów całego pokolenia, gorączkowe pragnienie nihilistycznej Nirwany, nerwowy egotyzm, schyłkowa, silniejsza nad wolę i myśl ogólną żądza osobistej rozkoszy. Jego liryka, pojęta jako „barwa, kształt i melodia“, wytwarza odrębną szkołę neoromantycznej poezji, charakteryzuje ją niezwykle bezpośredni, namiętny, powiedziałbym, nagi stosunek do kobiety, ogromna wrażliwość odczucia poetyckiego, wreszcie gwałtowny spadek poziomu, brak szcerości i prawdy życiowej, gdy idzie o moment społeczny, wielką ideę ogólną, aktywną wolę czynu.

Tak było w pierwszych tomach jego poezji, w liryce, która mimo wszelkich krzyków pruderji i oburzenia świętoszków życiowych stanowi etap w psychologii i twórczości pokolenia. Ale wkrótce potem nastąpił zwrot, który wprowadził nie zmienił zasadniczej linii, ale stanowi odrębną całość, oddzielającą się zupełnie wyraźnie od innych faz. Mówię tutaj o świecie górskim Tetmajera. Już to Tatry w ogóle szczyt, po królewsku obchodzą się z tymi, którzy umieją na nie patrzeć, czuć i rozumieć. Witkiewicz i Matlakowski, Kasprovicz, Nowicki i tylu innych znaleźli tam żywe, odradzające źródło natchnień twórczych. Przemówiły Tatry do dusz serdecznych, mocnych i szczerých jedną w swo-

im rodzaju wymową olbrzymów przyrody, natura i ludzie, nietknięci strychnicem cywilizacji, stali się skarbnicą niewyczerpaną dla tylu. Do gór swych rodzinnych po moc i wiarę, po prze-rodzenie ducha i tło do nowego rzeczywistego bohaterskiego eposu sięgnął Tetmajer. I Tatry nie odmówiły mu swego wszechmocnego poparcia, dały mu się zbratać z sobą nierozdzielnie, miłośnie, odkryły wszystkie swoje tajemnice, otworzyły przed okiem swojaka, co tak długo błądził po obcym świecie, najskrytsze zakątki wąwozów i szczelin, dały klucz pewny do duszy góralskiej, do mowy dobitnej, szorstkiej a przecie tak poetycznej i obrazowej, jak rzadko która. Próby w tym kierunku znać już w „Liście Hanusi“ i „Pieśniach zbójnika“, pisanych gwarą tatrzańską. Ten sam nastrój panuje w utworach literacko traktowanych, takich, na przykład, jak wrażenia z Morskiego Oka i Świnicy, albo nawet takich, co pozornie nie tyczą się tematu, jak „Marzenie“, „Wizja“, „Na morzu polarnym“ i inne. Ale to była tylko przygrywka. W pełnym świetle i napięciu ukazał się syn gór dopiero w cyklu „Na skalnym Podhalu“. Nie będę się spierał z formalistami, którzy strzegą zazdrośnie tak zwanej czystości języka, nie mogą wchodzić w szczegółową ocenę utworu, bo na to trzeba osobnego studjum, interesuje mnie tylko rzecz jedna: oto w całym cyklu „Na skalnym Podhalu“ czuć fascynującą, głuchą i ślepą

potęgę, staje przed oczyma świat jakiś legendar-ny szczytów i wyżyn, tętni życie wolne, bezkresne. W majestacie swobody i grozy rozwija swą indywidualność człowiek zupełnie niepodobny do żyjących na dolinie, człowiek pełen nieuświadomionych jakichś głosów bohaterskich, pełen siły nieokiełznanej, tak właśnie jak natura, dziwny i straszny, okrutny i twardy, brutalny i niepohamowany żadnym nakazem wewnętrznym, niepodległy, a jednak nawet w zbrodni wielki, w szczerej, prostej pierwotności wspa-niały. Z pozoru a nawet w istocie swej obcy on dla większości współczesnych, obcy dla filisterstwa i małości, oślepiający dla oczu przywykłych do ograniczonego widoku, zbyt szeroki dla piersi zacieśnionej, dla wszelkiej przeciętnej miary. Mimo to wszystko jednak świat ten cały, jeśli tylko oswoić się z nim przez chwilę, wchłania w siebie tak niepodzielnie, że każe zapomnieć o wszelkich innych pojęciach, o różnorodnych uprzedzeniach kultury, pseudonaturalnych prawach życia zwykłego; czuje się wtedy wyraźnie, że tam jest właśnie prawda, choć różna od codziennej, że taką była kolebka ludzkości jako źródło siły, że z tych właśnie pierwiastków niezmiennych i wiecznych wywodzi natura ludzka swą żywotność i twórczą siłę, zmienia kształt, musi wracać choćby w marzenia poety czy malarza po jedną treść natury i człowieka. Dlatego właśnie obrazy Tetmajera posiadają już

nie tylko wartość artystyczną, ale przede wszystkim psychologiczną. Idzie z nich jakiś wicher halny, słychać poszepty żywej mocy, z istic malarską plastyką zarysowuje się typ żywy polskiego górala. Niedługo już w ślad za tą pieśnią góralską miało powstać w pierwszych latach XX wieku dzieło w swoim typie niezrównane, dające taki przekrój indywidualności i życia chłopskiego (już nie tylko w górach), jak nikt przedtem i nikt potem do chwili obecnej włącznie.

Mówię o „Chłopach“ Reymonta. Powieść to istic homerycka; wre w niej, kipi i kotłuje się życie natury, życie człowieka o konstrukcji mocnej, namiętnościach i żądzach nieuhamowanych, uczuciu prostym, brutalnym, przeważnie o zabarwieniu płciowym. Chłop Reymonta nie tylko jest przedstawiony realistycznie, ale nawet w pewnych momentach szarżuje, przesadza w charakterystyczności. Przedmiotowość twórcy daje mu możliwość osiągnięcia akordu w realizmie artystycznym, jego opisom przyrody pozwala dyścić pełnią żywiołowych sił natury, nad całą powieścią na miarę poezji kładzie znak najwyższego słowa sztuki, znużoną wyobraźnię i stargane nerwy współczesnego człowieka wabi nieprzepartym czarem wzburzonej, nieokiełznanej, ślepej mocy. Ale w „Chłopach“ Reymonta przy całym wirtuozostwie natchnienia poetyckiego brak rdzenia, niema w nich wyższej jednolitej koncepcji filozoficznej. Przedmiotowa

obserwacja nagiej duszy chłopskiej nie doprowadziła Reymonta do żadnego uogólnienia, do żadnej syntezy wewnętrznej. Antoni Potocki ¹⁾ to „absolutne uszanowanie własnego bytu chłopa“, nie pozwalające na uogólniający wniosek myślowy, uważa za najwyższą zaletę epiki Reymonta, twierdzi, że czynem bohaterskim chłopa będą dzieje polskie, a tych improwizować nie można. Chłop, konkluduje on, jest w wilją dnia, w którym pocnie tworzyć dzieje; ten moment wyraża Reymont. Zdaje się, że zachodzi tu nieporozumienie; czyżby Potocki zamykał myśl twórczą w wymierzonej dokładnie rzeczywistości, czyżby na przykład, improwizacji z III-ej części „Dziadów“ odmawiał potęgi i ceny? Chyba nie. Do Reymonta nikt nie może rościć jakiejś pretensji, że pociągają go przedewszystkiem rozszalałe skłębione moce psychiczne, że malarska obserwacja narzuca mu tytaniczne obrazy żywiołowego bytu, wsłuchanego w rytm przyrody. Jako artysta ma on swoje prawo, prawo pełnej swobody twórczej, niekrępowane jakimkolwiek zakazem z zewnątrz. Ale fakt pozostaje faktem. Do wyżyny wielkości estetycznej „Chłopi“ sięgają, do wielkości bezwzględnej (rzecz prosta względnie bezwzględnej) zbywa im na skupionej, uskrzydlającej całość myśli kierowniczej.

¹⁾ „Polska literatura współczesna“, Warszawa, 1911 r.

Byłoby zupełnie jałowem uzbroić się w wagi aptekarskie i porównywać ciężar gatunkowy Pana Balcera po kolei z wymienionymi utworami doby współczesnej; po mozolnych działaniach arytmetycznych ustalić jakieś proporcjonalne stosunki. Nie o to chodzi, pod jakim względem stoi pieśń Konopnickiej wyżej od powieści Reymonta, pod jakim niżej, to kwestja w danym razie tak dobrze jak obojętna, wystarczy najzupełniej, jeśli na podłożu ogólnym, które starałem się tutaj scharakteryzować, utwór finalny autorski „Ludziom i chwilom“ uwypukli się wyraźnie jako trwałe nabytki narodowego ducha, coś czego w takim kształcie dotąd nie wyrażono.

Zdaje się, że ten cel został osiągnięty, i Pan Balcer przedstawia jasną, samorzutną, śmiałą syntezę ideologiczną, że nie zarzuci mu już nikt braku owej samodzielnej filozofji sztuki, bez której, jak twierdzi Taine, „uczony jest tylko robotnikiem, artysta bawicielem“.

W pięknym szkicu dziennikarskim ¹⁾ Marja Konopnicka filozofję swą społeczną wyznaje zupełnie jasno: „czerpajmy ze skarbnicy wiedzy, oddawajmy hołd pięknu, lecz przedewszystkiem szukajmy wielkości duszy w masach społecznych“. Duszę tę znalazła poetka uśpiona, w głębi jej nieprzeliczone bogactwo sił, czekające wyzwolenia ze stanu bezświadomości.

¹⁾ „Nasz lud“, Biblioteka Warszawska, 1907 r.

ZAMKNIĘCIE.

Dobiegła kresu pieśń poezji i życia, królewski śpiew łabędzi. W monumentalnych kształtach eposu zawarło się, krwią serdeczną sycone, słowo ostatnie; wola twórcza żar osobistego liryzmu wcieliła w żywego człowieka, nie niszcząc jego indywidualności; intuicja myśli i serca rozpostarła perspektywiczne widzenie przyszłości, może już niedalekiej, widzenie przemiany w polskiej naturze, plemienia nowych ludzi na polskiej ziemi. Cóż wobec tego znaczą pojedyncze, osamotnione zresztą, niedobory estetyczne—tyle, co plamy na słońcu.

Nie mamy w „Panu Balcerze“ aktualnej bieżącej tendencji, programowego hasła, wskazówek taktycznych ani planu działań polityczno-społecznych. To rzecz publicystyki, zawodowej agitacji, nauki ścisłej. Ona, Pieśniarka, ślubowała nieśmiertelnemu chramowi sztuki. Jej wolno czerpać wieczne piękno harmonji, wieczną syntezę myśli i uczucia wprost z tajników duszy ludzkiej, nie oglądając się wokoło, dać duszy tej głos bezpośredni, dobyć na jaw i światło wartości jeno najgłębsze, niezależne od przemijającej chwili.

Były tam oczy jako lodu bryły,
Były tam twarze jakby młotem kute,
Serca krwią zaszałe i tętniące żyły,
Pięście zatwardłe w sęk, i słowa lute.
Był naród, który dobył z siebie siły
Śmiertelnej, wydał swą najwyższą nutę.

W podobny sposób z punktu symbolizmu ideowego żywych ludzi, z punktu jednorodnej idei przyszłości i pewnych zatajonych pierwiastków psychicznych, które mają uleść przemianie, ujął lud polski w kształt natchnienia poetyckiego jeden tylko człowiek, człowiek-wieszcz, Stanisław Wyspiański. W jego „Weselu“ niby błędne ogniki rozrzucone po ciemnej przestrzeni migocą na tle obrazu ogólnego silnie zaznaczone barwy składowe. Ta chała wiejska rozśpiewana w mroczną noc, ten tłum bawiący się w pozornej niepamięci na nic, to jedyne w swoim rodzaju ujęcie psychiki polskiej indywidualnej i zbiorowej, za którą w każdym momencie stoi widmo-zmora wszechobecne, straszne, upiorne, wszystko zlewa się w jeden pełny symbol Polski współczesnej, gra głuchym chichotem przeźrzałej ironji, wstrząsa bezlitosnym okrutnym widzeniem rzeczywistości. Różne typy i odmiany psychiczne snują się w oną noc weselną, akcentują swą rolę i udział w życiu narodu, spowiadają się z własnej męki i nędzy, ukazując w jakimś błyskawicznym oślepiającym reflektorze swoją nędzę, fałsz i kłam.

„W twarz wam pluję litość moją“ mówi gospodarz jakimś gardłowym dźwiękiem beznazdziej. Wolno protestować przeciw wyrokowi „Wesela“, protestować nie słowami, lecz czynem, ale uznać trzeba, że wcieliła ono w sobie cały jeden okres oddzielny, specjalną fazę życia pol-

skiego. To ogólne zastosowanie nawiązuje się i do ludu. Wprawdzie chłop polski Wyspiańskiego przemawia zupełnie innym językiem, niż blade szkielety ludzkie t. zw. inteligencji, wprawdzie czuć w nim tężyznę ogromną, moc zatajoną zakłęta, która szuka jeno ujścia, grozi, że sama sobie wyżłobi koryto, pomnąc ciągle na słowa Czaplica, że z takich jak on był Głowacki. Ale... ostateczny moment zarysowuje się zgrzytem pesymizmu: „Miałeś chamie złoty róg, miałeś chamie czapkę z piór. Ostał ci się jeno sznur“. I tutaj w tym właśnie końcowym fakcie psychicznym, w obłądnym tańcu w takt melodji tkwi różnica obu form jednorodnego ujęcia tej samej sprawy. Wyspiański ukazał terażniejszość na tle rozległej, lecz ciemnej i tylko z oddali szarzejącej perspektywy, Konopnicka starała się sięgnąć w przeszłość i nakreślić linię rozwoju duszy ludowej.

Byłoby zuchwalstwem jeśli nie bluźnierstwem porównywać twórczość i siłę, natężenie i wagę tych dwóch odrębnych jakości artystycznych. Niewspółmierność wartości nie wyklucza jednak bynajmniej znaczenia własnej indywidualnej drogi twórczej. *Nawet w obliczu największego mocarza współczesnej myśli i uczucia polskiego indywidualność autorki „Pana Balceraka” utrzymuje się w całym uprzednim zakresie i sile.*

SPIS ROZDZIAŁÓW:

I. Pierwiastki oceny estetycznej	str. 1
II. Zarys ogólny twórczości M. Konopnickiej	str. 5
III. Galerya żywych ludzi	str. 25
IV. Lud polski, jako zbiorowość	str. 70
V. Parę uogólnień	str. 90



288741

SKOROWIDZ NAZWISK:

	str.		str.
Arystoteles.	1	Majkowski	16, 91
Asnyk Adam	9	Mazanowski Ant.	15, 16
Amicis	101	Malakowski	104
Belmont	26	Milkowski T. T.	97, 96
Berwiński	76	Mickiewicz	95, 90
Bogusławski	95	Niemcewicz	95
Brodziński	95	Nowicki	104
Carducci	101	Orkan	29
Dygasiński	100	Potocki A.	5, 108
d'Anunzio	101	Reymont Wł.	52, 107, 108
France Anatol	1	Reklewski Wincenty	95
Feldman W.	91	Skarga	16
Gogol	23	Sienkiewicz	33, 97
Gostomski Walery	35	Szujski	7
Grabomski Tadeusz	91	Szczepański	7
Górecki	95	Świętochowski	7
Junosza Klemens	100, 101	Słowacki	90, 95
Koźmian	95	Siemieński Lucjan	76
Konopnicka	5, 9, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 35, 36, 61, 72, 77, 85, 89, 90, 91, 99, 109	Sewer	99
Kraszewski	5, 96	Tetmajer Kazim.	103, 104, 105, 106
Kolberg	74	Tarnowski Stanisław	101
Kasprowicz	102, 103, 104	Taine Hipolit	109
Lemaitre	1	Wysłouch	7
Leconte de Lisle	101	Wawrzyniak	7
Lenartowicz	95	Woroniecki Edward	4
Miarka	7	Witkiewicz	104
		Wyspiański	111, 112
		Zdziechowski	23

DOSTRZEŻONE BŁĘDY DRUKARSKIE.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>jest</i>	<i>winno być</i>
25	9 od dołu	rozpatrzenie	rozpatrzenie się
59	1 od dołu	mia	miał
67	19 od dołu	pomocniczy	pomocniczy
72	28 od dołu	chropowej	chropawej
73	6 od dołu	egoim	egoizm
96	12 od dołu	„Wasył Hałub“	„Wasył Hołub“